

# PORADNIK

# JEZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1968



(257)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:  
prof. dr Witold Doroszewski  
Zastępca redaktora: doc. dr Mieczysław Szymczak

#### KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, dr Hubert Górniewicz (Gdańsk), doc. dr Halina Kurkowska,  
dr Zofia Mianowska, doc. dr Leszek Moszyński (Toruń), dr Wanda Pomianowska,  
doc. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław Stieber,  
mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)

Sekretarz redakcji — Stefan Rodkiewicz

#### TREŚĆ NUMERU

<i>Witold Doroszewski</i> : Karol Kuryluk. Wspomnienie . . . . .	57
<i>Witold Doroszewski</i> : O Rewolucji Październikowej i niektórych aspektach językoznawstwa radzieckiego . . . . .	59
<i>Mieczysław Karaś</i> : Ze studiów nad zapożyczeniami obcymi w gwarach pol- skich . . . . .	69
<i>Alfred Mielczarek</i> : Pojęcie definicji w zastosowaniu do terminologii woj- skowej . . . . .	78
<b>JĘZYK POLSKI W SZKOLE</b>	
<i>Zygmunt Saloni</i> : Błędy uczniowskie w zakresie konstrukcji dłuższych odcinków tekstu (II) . . . . .	85
<b>RECENZJE</b>	
<i>Ewa Rzetelska — Feleszko</i> : B. Sychta — Słownik gwar kaszubskich na tle kul- tury ludowej . . . . .	99
<b>SPRAWOZDANIA</b>	
<i>Renata Grzegorzczkova i Jadwiga Puzynina</i> : X Międzynarodowy Kon- gres Sławistów . . . . .	102
<i>Ewa Siatkowska</i> : I Międzynarodowy uniwersytecki kurs języka górno- łużyckiego w Budziszynie . . . . .	105
<b>CO PISZĄ O JĘZYKU? — A. S.</b> . . . . .	107
<b>OBJASNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W. D.</b> . . . . .	110

---

Zatwierdzone pismem Ministerstwa Oświaty nr VI Oc-2755/49 z dnia 30 stycz-  
nia 1950 r. do użytku szkolnego jako pożądane w bibliotekach nauczycielskich

---

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa, ul. Miodowa 10  
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica tel. 26-52-31 wewn. 132

---

Nakład 2290 (2093+197). Ark. wyd. 5,0. Ark. druk. 3,75. Papier druk. sat. kl. V,  
65 g. 70×100. Oddano do składu 14.XII. 1967. Podpisano do druku 27.II.68. Druk  
ukończono w marcu 1968. Zam. 2139/67. N-23 Cena zł 6.—

---

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie

# PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)  
SŁOWNIKA JĘZYKA POLSKIEGO

**KAROL KURYLUK**  
(1910—1967)

**WSPOMNIENIE**



Karola Kuryluka poznałem przed rokiem 1950. W Państwowym Instytucie Wydawniczym, którego był on wówczas dyrektorem, rozpoczęliśmy od nowa pracę nad suplementem do Słownika Karłowicza-Kryńskiego-Niedźwiedzkiego. Materiał przed wojną już zebrany i przygotowany do druku, spłonął w Warszawie w roku 1944. W jednej z rozmów z dyrektorem Kurylukiem zaczęliśmy się zastanawiać nad kwestią, czy nie lepiej byłoby zamiast przygotowywać suplement, przystąpić do pracy nad nowym wielkim słownikiem języka polskiego. Kuryluk widział możliwość zrealizowania takiej inicjatywy przez Państwowy Instytut Wydawniczy i przyrzekał swoją pomoc w tym zakresie. Ta jego postawa zdecydowała o tym, że mogliśmy podjąć się pracy nad słownikiem, którego tom pierwszy ukazał się w 1958 r., tom zaś dziesiąty, już od kilku miesięcy oddany do drukarni, ukaze się w 1968 r.

Kuryluk swoim trochę jak gdyby ironicznym a jednocześnie życzliwym uśmiechem, prostotą w sposobie bycia budził do siebie zaufanie i sympatię, rzeczowością zaś argumentów przekonywał. Uważał, że związanie słownika z wydawnictwem, a nie z Akademią zapewni terminowe ukazywanie się kolejnych tomów; obawiał się, że w Akademii praca byłaby planowana sub specie aeternitatis i byłaby narażona na opóźnienia. Ja miałem inne powody wahań. Zdawałem sobie sprawę z ogro-

mu czekającej nas pracy a także z tego, że warunkiem jej pomyślnego wykonania będzie dobra wola, sumiennosc, ambicja, przywiązanie do pracy całego zespołu pracowników. Błąd, który zostanie popełniony przez kogoś z opracowujących materiał hasłowy, można zauważyć i usunąć, ale nie ma sposobu wykrycia tego, co powinno było w tym materiale się znaleźć a co zostało pominięte: wymagałoby to już nie kontroli, ale ponownego przerabiania całej pracy ekscerpcyjnej. Na kim można się było oprzeć w pracy? Tylko na tych, którzy zgłaszali gotowość podjęcia się jej. Zgłaszającymi się byli w znacznej większości absolwenci filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Doświadczonych leksykografów, z paroma wyjątkami, wśród nich nie było; skąd mieli się wziąć? Trzeba było liczyć na to, że potrafią dość szybko zdobyć kwalifikacje w toku zespołowego wykonywania powierzonych sobie zadań. Atmosfera i styl zespołowej pracy były rzeczą niezmiernie ważną. Nie w każdych warunkach zespołowość pracy dałaby się we właściwy sposób realizować. Miałem w tym zakresie pewne doświadczenia. Praca nad Słownikiem uzyskała protektorat Akademii, ale pracownicy pozostali na etatach Państwowego Instytutu Wydawniczego. Kuryluk stał na stanowisku, że utrzymanie tempa pracy warte jest ryzyka błędów, bo ogarniał myślowo całość sytuacji; istotę pracy widział w jej treści społeczno-kulturalnej, której fachowość naukowa powinna służyć, nie wynosząc się nad nią. Był zdecydowanie przeciwny wymienianiu na tytułowych kartach dzieł obok nazwisk tych, którzy biorą rzeczywisty udział w pracy, nazwisk jakichkolwiek „figurantów”. W roku 1964 Karol Kuryluk został dyrektorem Państwowego Wydawnictwa Naukowego (był przedtem Prezesem Centralnego Urzędu Wydawnictw, ministrem Kultury i Sztuki, ambasadorem w Austrii). Parokrotnie rozmawiałem z Nim o sprawach „Poradnika Językowego”. Interesował się pismem, wypowiadał rzeczowe uwagi co do sposobów realizowania jego zadań. Nie miał cienia pretensjonalności, był trochę „brat-lata”, miał żywe poczucie humoru. Łączył w swej postawie życiowej pewien sceptycyzm z pogodną równowagą, może wiążącą się z tym sceptycyzmem.

Często się cytuje aforyzm łaciński: *verba volant, scripta manent* — słowa ulatują, pisma pozostają. To prawda, że wypowiedzenie słowa trwa tylko chwilę, ale prawdą jest również, że *scripta manent* tylko jako potencjalne *verba*, to znaczy, że *scripta* ożywają wtedy, gdy ktoś je odczyta jako słowa. Warunkiem rozumienia słów pisanych jest tradycja znajomości słów żywych. Twórcami i kontynuatorami tej tradycji są ludzie.

Czyny ludzkie mają wartość nie mniejszą niż pisma. Karol Kuryluk zasłużył sobie na to, żeby pamięć o Nim żyła w społeczeństwie polskim.

Witold Doroszewski

Witold Doroszewski

## O REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ I NIEKTÓRYCH DZIEDZINACH JĘZYKOZNAWSTWA RADZIECKIEGO

Rocznicowa okoliczność usposabia do ogólnej refleksji, nakłania humanistę do zastanowienia się nad tym, gdzie szukać właściwej treści, w czym widzieć właściwą treść minionych lat pięćdziesięciu, co w ciągu tych lat często ciężkich, krwawych, tragicznych można rozumieć jako najistotniejsze znamiona i sygnały rozwojowych tendencji procesów społecznych — a także nad tym, jaka w tych procesach przypadła rola kierowniczym myślom organizatorów Rewolucji, jak te myśli wcielały się w życie — a z chwilą gdy mówimy o tym, jak myśli wcielały się w życie, nie możemy nie myśleć jednocześnie o tym, w jakich słowach te myśli znajdowały wyraz, jak zdobywały ludzi, jak oddziaływały na przebieg wydarzeń. Ta właśnie strona zagadnień wysuwa się na czoło dla humanisty i językoznawcy, może skutkiem jego *déformation professionnelle* — czyli „spaczenia zawodowego”.

Różne są postawy ludzi, różne zainteresowania, różne temperamenty i inklinacje. *Sunt quos curriculo pulverem olympicum collegisse iuvat, metaque fervidis evitata rotis, palmaque nobilis terrarum dominos evehit ad deos*, «są tacy, których cieszy, gdy ich wóz znajdzie się wśród kurzawy drogi olimpijskiej, gdy rozgrzane koła mijają metę, gdy szlachetna palma (jako laur) wznosi ich na wyżyny bogów, władców ziemi». To znaczy tłumacząc intencję cytatu: jednych porywa akcja, walka, zwycięski pęd kwadry posłusznej woli tego, kto nią kieruje. To są ludzie czynu, którzy umieją znaleźć drogę swojej walki, w tym zaś stopniu, w jakim ta droga staje się drogą mas, kształtują historię. Zostaje po nich ślad w dziejach, ślad, którego trwałość polega na tym, że on się zmienia, przeobraża w zależności od tego, jak się zaczyna przedstawiać oczom, a ściślej myślom następnych pokoleń, co następne pokolenia w tym śladzie odczytują. *Ex antecedentibus et consequentibus fit optima interpretatio*, jak głosi stara zasada prawnicza: z tego, co zaszło przed pewnym wydarzeniem, i z tego, co się stało po nim, wysnuwa się najlepsza interpretacja tego wydarzenia. „Odczytywać” nie jest w tym związku tylko przygodną metaforą: odczytać to zrozumieć tekst, historia zaś jako opowieść o dziejach jest zawsze tekstem, który poznajemy za pomocą przekazów słownych i które

interpretujemy również za pomocą słów. Słowa, jak napisało mi się kiedyś, to mosty przerzucone nad wiekami, z których oglądać można treść upłynionych wydarzeń — bo w perspektywie czasowej widać *antecedentia et consequentia*. Bez słów niemożliwy jest kontakt myśli ze światem, słowa jednocześnie i ograniczają, i otwierają horyzonty myślowe i ten konflikt ostro odczuwa humanista, który w ramach tego konfliktu zmuszony jest widzieć treść i cel swojej pracy. Horacy — o ile wiem — nie brał udziału w zawodach olimpijskich, ale jako widz i obserwator umiał się wżyć w psychologię wodza kwadrygi i przekazał ją nam w słowach, których treść i dziś rozumie każdy, choć nawet nigdy takich zawodów nie widział.

Droga, którą w ciągu lat pięćdziesięciu przebyła kwadryga Rewolucji Październikowej, stawia przed naszymi oczami nieskończone mnóstwo zagadnień. Na kilku fragmentach tylko postaramy się skupić myśl, a mianowicie na fragmentach pozostających w związku z zagadnieniem roli słów w procesach społecznych i na możliwych związkach tego, co bada językoznawca, z przedmiotem badań innych nauk. Historii pięćdziesięciu lat Związku Radzieckiego nie odpowiada ściśle mówiąc tyleż lat historii radzieckiego językoznawstwa. Jeżeli się chce ustalić początek zorganizowanej pracy nad językoznawstwem w Związku Radzieckim, to trzeba od lat pięćdziesięciu odliczyć lata wojny domowej. Można jednak stwierdzić, że nawet w najpierwszych dniach walk rewolucyjnych, a nawet w okresie bezpośrednio poprzedzającym dni tych walk, na obszarach, na których utrwaliła się później władza radziecka, wśród ludzi, którzy mieli tworzyć nowe państwo, działy się rzeczy mogące bardzo żywo interesować językoznawcę, a nawet nie mogące go nie interesować bardzo żywo — bo nie może go nie interesować język dający o sobie znać jako akumulator psychicznej energii działania a zarazem jako siła tę energię wyzwalamą, narzędzie tego działania.

„Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, jak to określił w swojej znanej książce John Reed, reporter amerykański przebywający wówczas w Związku Radzieckim (w Moskwie i zdaje mi się, w ówczesnym Piotrogradzie) były to dni, w których się toczyła zbrojna akcja mas, kierowana myślą Lenina i organizująca te masy dokoła pewnych haseł o niezwykłej dla nich sile sugestywnej a jednocześnie zawierających obiektywną treść społeczną nadającą walce mas określony kierunek i wyznaczającą jej cel. Organizatorzy rewolucji dobrze zdawali sobie sprawę z tego, czym są słowa jako narzędzie działania, i tymi narzędziami umieli operować w sposób dla mas, czyli dla wszystkich „prostych ludzi”, nieodparcie sugestywny, czyli wyzyskiwali język w jednej z jego najbardziej podstawowych funkcji, a mianowicie w funkcji pragmatycznej, tej o której wspomniałem przed chwilą, a która polega na tym, że słowa są bodźcami czynów, budzą w ludziach takie echa, które się stają impulsami działania, zwłaszcza działania kolektywnego. Kolektywne działania,

w szczególności akcja rewolucyjna, możliwe są wtedy, kiedy warunki obiektywne współdziałają niejako z treścią haseł. Słowa nie zmobilizują mas, jeżeli żywi ludzie, z których się masy składają, nie będą wyczuwali, że kierowane do nich hasła istotnie ich dotyczą, obchodzą ich bezpośrednio, życiowo. Kwestia jest bardzo złożona, bo mogą wchodzić w grę czynniki irracjonalne w reakcjach ludzi na słowa, wybuchy namiętności celowo i oszukańczo prowokowane. Rozważmy wypadek najprostszy, do prymitywności prosty. Gdyby przed wojną utalentowany agitator wiejski prowadzący akcję na rzecz reformy rolnej wygłosił na ten temat przemówienie w dworze ziemiańskim, nie ma wątpliwości, że sukcesu by nie uzyskał: jego słowa odbijałyby się od umysłowości właściciela dworu tak samo jak od ścian jego domu: hasła reformy rolnej w tym środowisku nie chwyciłyby. (Znam wyjątek od tej reguły: pewien arystokrata był przed wojną autorem wiersza, w którym były słowa: „Jeśli Polsce toruje to drogę, ja dom mój sam burzyć pomogę”). Te same hasła wygłaszane nawet bez talentu znalazłyby natomiast żywiołowy oddźwięk w czworakach, w środowisku służby folwarcznej. Po to, żeby za pomocą słów kierować ludźmi, należy znać tych ludzi, znać warunki, w których oni żyją i znać ich przeszłość, orientować się w apercpcjach, które będą determinowały ich reakcje na słowa. Zagadnienie sugestywności propagandy ma punkty styczne z zagadnieniem sugestywności w sztuce. Po to, żeby dzieło sztuki było sugestywne, muszą w nim być pierwiastki obiektywnej prawdziwości. Sztuka, jak ktoś powiedział, to natura plus człowiek. Natury w znaczeniu tego, co jest obiektywne, obiektywnie prawdziwe, nie może w sztuce zabraknąć. Weźmy znów elementarne przykłady. Conradowskie opisy morza, okrętów, przeżyć ludzi związanych z morzem i okrętami są niezwykle sugestywne i robią wrażenie nawet na tych, którzy z tą tematyką w swoim życiu nie są związani, a jednocześnie te opisy są tak wierne, że bywają cytowane w historii żeglarstwa. Conrad dbał o tę wierność i pisał, że wszelkie pozwalanie sobie na nieścisłości techniczne w języku dzieła literackiego jest rzeczą niestosowną i niedopuszczalną (dlatego też obstawał za zwrotem *let go the anchor* dosłownie «puścić kotwicę» jako jedynie wiernie określającym czynność tego, kto zwalnia opadający przez kluzę pod ciężarem kotwicy łańcuch kotwiczny. Z tym miała trudność tłumaczka, Aniela Zagórska). Gdy natomiast Gomulicki opisując statek na Wiśle pisze, że fale „miotają tym statkiem jak łupiną orzecha”, to sugestywny nie jest, bo treść tych słów zbyt się klóci z obrazem każdemu z nas znanym. Wisła to nie ocean, związek frazeologiczny „fale miotają łodzią (statkiem) jak łupiną orzecha” wynurza się z którejś komórki mózgowej pamięci autora pod działaniem bodźców czysto słownych, zwrot ten ciąży nad jego wyobraźnią i zagłusza, tłumi bezpośrednio, plastyczne reagowanie na to, co powinno stanowić obiektywną treść wizji artystycznej, zakłóca dynamiczne równoważenie się autora z bodźcami zewnętrznymi. Oddziaływanie na masy

za pomocą słów powinno polegać na tym, żeby rozwijać w każdym człowieku jego naturalną zdolność do orientacji w otaczającym go świecie, jego zdolność wypowiedzenia trafnych sądów, odróżniania prawdy od fałszu („la puissance de bien juger et distinguer le vrai d'avec le faux”, w którą wierzył Descartes) na tym, żeby nie ogłuszać go słowami, których on może nie rozumieć, a tym bardziej takimi, których zasadniczo nie powinien nawet chcieć rozumieć, a które mimo to miałyby być dyrektywami jego działania.

W propagandzie bolszewików kierowanej do żołnierzy armii carskiej, potem Rządu Tymczasowego, często powtarzał się zwrot tych żołnierzy określający: „*переодетые в солдатские платья рабочие и крестьяне*” «przebrani w stroje żołnierskie robotnicy i chłopci». Chodziło o to, żeby dynamiczny stereotyp, model społeczny „żołnierza” stawiany przez ustrój carski przed oczy robotników i chłopów tracił swoją zdolność mobilizowania ich do walki w obronie tego ustroju, żeby wyraz „żołnierz” *солдат*, nie przesłaniał w wyobraźni robotnika i chłopca tego, czym każdy z nich jest naprawdę, żeby ten robotnik i chłop nie ulegał sugestii słowa mocniej niż działaniu czynników społecznych wypełniających istotną treścią określenia *robotnik*, *chłop* odnoszące się do ogromnej większości żołnierzy armii carskiej. Robotnik i chłop uzbrojony w karabin był przez warunki ustroju carskiego wprawiany w ruch jako „żołnierz”, czego w dotkliwy sposób doświadczyliśmy na sobie, a prócz nas rewolucjoniści rosyjscy dziewiętnastego i pierwszych dziesięcioleci XX wieku, których „ręce za lud walczące” obcinał „sam lud” rękami tych, co byli „przebrani w stroje żołnierskie”. W tym konflikcie tkwiły historyczne ogniska społecznego dynamizmu Rewolucji.

Można sobie w tym związku zadać teoretyczne pytanie: jaka jest treść znaczeniowa wyrazu *żołnierz*? Pytania dotyczące treści znaczeniowej wyrazów nigdy nie są pytaniami akademickimi: ich sens jest sensem społecznym, one dotyczą zawsze jakichś czynności ludzkich, faktów i procesów społecznych. Cała ich istota na tym polega. Na pytanie: co znaczy wyraz *żołnierz*? o kim możemy powiedzieć „to jest żołnierz?” można odpowiedzieć dwojako: od strony filologiczno-historycznej i od strony społeczno-historycznej czy też socjologicznej. Od strony filologiczno-historycznej rzecz jest prosta i znana. Wyraz *żołnierz* pochodzi z niem. *Söldner*, dosłownie «ten, co jest na żołdzie». Sławny autor Nowych Aten, ks. Chmielowski, pisząc: „*żołnierz niby żold bierz*” tylko w drugiej połowie swego objaśnienia odbiegał od dokładności etymologicznej. Z formą *biertz* ten wyraz związku nie ma, ale z *żoldem* ma. Szymon Starowolski wywodził: „Ten, co *żold bierze*, zowie się *żołnierzem*, od włoskiego *soldato*, *cui solidus datur* i już nie ma tej prerogatywy, co rycerz, bo duszę swoją za grosz sprzedaje, kto mu jeno zapłaci, a rycerz tylko swojej Rzplitej broni kosztem swym, który ma z majątności swej. Żołnierzów przeto zowią



*mercenarios* a rycerzów prawych *cives*". Chmielowskiemu nasunęło się zestawienie *żołnierza z braniem żołdu*, Starowolskiemu — zestawienie włoskiego *soldato* z wyrazami łacińskimi *solidus datur*; tak samo jak w wywodzie Chmielowskiego, pierwsza część zestawienia była słuszna: wł. *soldato* wiąże się istotnie z łac. *solidus*, domyślne *nummus* — było to określenie twardej (brzęczącej) monety, której nie ufając banknotom domagali się żołnierze legionów rzymskich znajdujących się w Galii. W polskiej świadomości językowej etymologiczna treść wyrazu *żołnierz* od dawna już została zapomniana, ale zjawisko wynajmowania ludzi do posług wojennych jeszcze z historii nie znikło: o tym procederze mówi nam nazwa *żołdak*, dziś stylistycznie nacechowana, kojarząca się jednak raczej z brutalnością niż z otrzymywaniem pieniężnego żołdu. O współczesnych kondotierach mówimy „najemnicy”. Francuzi mają wyraziste określenie „*tuteurs à gage*” — zabijający za pieniądze — są tacy. W polskim wyrazie *żołnierz* dominuje dziś to znaczenie, które widział Starowolski w wyrazie *rycerz* jako oznaczającym nie tego, co „duszę swoją za grosz przędzie, kto mu jeno zapłaci”, ale tego „kto swojej Rzeczypospolitej broni” z tą różnicą, że *żołnierz* nie broni jej „z majątności swej”. Dzisiejsza funkcja wyrazu *żołnierz* polega na tym, że z wyrazem tym kojarzy się pewien obraz, wzór społeczny, typ człowieka, stereotyp myślowy, model wywierający wpływ na zachowanie się tego, kto jest tą nazwą określany. *Żołnierz* w polskiej świadomości społecznojęzykowej, to ten, kto ma poczucie obowiązku, odpowiedzialności, kto jest gotów stawiać na kartę swoje życie w wypadkach, kiedy tego wymaga obowiązek. Jest to wyraz-hasło, takie zaś wyrazy-hasła są to siły wywierające bardzo znaczny wpływ na kształtowanie się życia społecznego. Znaczenie „hasłowe” kojarzył z wyrazem *żołnierz* już Krasicki, jak to widać z wiersza:

„On, pierśmi swego kraju mający być murem,  
Ze *żołnierz*, samym tylko wydatny mundurem”.

Do treści znaczeniowej wyrazu *żołnierz* użytego w tym wierszu należy obraz kogoś, kto ma sobą jak murem osłaniać swój kraj: to, że ma na sobie mundur, nie stanowi jeszcze o tym, że jest *żołnierzem*. Ten fakt noszenia munduru należy do kręgu społeczno relacyjnych cech jednostki, ważny jest natomiast rezonans, jaki wywołuje w indywidualnej świadomości jednostki któreś z orzekanych o niej określeń, ważne jest to, w jakim stopniu to określenie staje się dyrektywą, stereotypem dynamizującym jej postępowanie. Pozwolę sobie poprzeć wyjaśniającym przykładem to, co chcę powiedzieć. W roku 1947 na wiosnę była wielka powódź w Polsce. O świcie pewnego dnia znalazłem się w Toruniu na dworcu kolejowym po lewej stronie Wisły. Zależało mi na tym, żeby możliwie wcześniej znaleźć się w mieście na prawym brzegu rzeki, ale przejście przez prowizoryczny drewniany most było zabronione, bo istniała obawa, że most nie wytrzyma naporu kry. Na prośbę jednak moją i kilku kole-

jarzy posterunek pozwolił nam iść przez most na własne ryzyko. Na moście porozstawiani byli saperzy, którzy obserwowali spiętrzone kry rozbijające się o izbice. Kiedyśmy się zbliżyli do pierwszej grupy saperów, jeden z nich dał nam znak ręką, żebyśmy się trzymali lewej balustrady mostu, nie narażonej bezpośrednio na uderzenia brył lodu. Był to życzliwy, ostrzegawczy gest człowieka, który rozumie siebie jako żołnierza na posterunku i do zakresu powierzonych sobie i akceptowanej przez siebie odpowiedzialności włącza opiekę nad ludźmi i nie chce ich narażać na ryzyko, które jest udziałem jego jako żołnierza pełniącego służbę.

W numerze 40. „Świata” w roku 1966 w rubryce „Świat przed pół wiekiem” była umieszczona fotografia „żołnierza niemieckiego w nowym wyposażeniu bojowym na froncie zachodnim”. To wyposażenie obejmowało płaszcz, starannie zapięty pod szyją, chlebak, maskę przeciwgazową, łopatkę saperską, karabin, hełm — wszystkie przedmioty potrzebne piechurowi do walki. Ale widać było, że młody chłopak patrzący spod hełmu bezradnie smutnymi oczami, jest żołnierzem takim, jak ten, o którym pisał Krasicki, że „żołnierz samym tylko wydatny mundurem”. Po wyrazie twarzy nosiciela żołnierskiego munduru poznać można było tragiczny i przez niego uświadamiany nonsens sytuacji, w której on się znajduje. Hasło „żołnierz” już go wewnątrz nie mobilizuje. Siłę każdego kolektywu stanowi postawa tych, z kogo on się składa, jednym zaś z czynników tworzących tę postawę są stereotypy słowne. Że hasła powinny mieć obiektywny sens, że muszą być prawdziwe, o tym mówiłem poprzednio, a wypadki, gdy hasła tego sensu nie mają, prowadzą do tragicznych następstw, czego bardzo wyraziste ilustracje zawiera książka Klemperera L. T. J. (*Lingua Tertii Imperii*) — „Die Sprache des Dritten Reiches”. Odradzanie się hitleryzmu to odradzanie się siły działania irracjonalnych, ponurych stereotypów słownych, siły tkwiącej w bardzo głębokich pokładach przeszłości Niemiec, czasem w przeszłości tych, którzy ulegali wpływowi niemieckim. Po wyrazie oczu owego żołnierza na fotografii domyślać się można, że armia, w której prosty żołnierz ma taką postawę, jest skazana na klęskę.

W roku 1951 w czasie badań gwarowych na Mazurach miałem sposobność dużo rozmawiać z pewnym autochtonem, który w czasie drugiej wojny światowej służył w wojsku niemieckim. Był dobrym narratorem, opowiadał rzeczy ciekawe. Nawiasem mówiąc, z opowieści prostych ludzi o wydarzeniach historycznych można by było czerpać wiele materiału bardzo ciekawego dla historyka i socjologa, zwłaszcza socjologa: w tych opowieściach widać ludzką stronę historii. Ów informator opowiadał pewnego razu o tym, co się z nim działo, gdy został zdemobilizowany. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się podziać. „Idę polem sam, idę, żołnierz niemiecki, nie wiem dokąd”. W chwili, której dotyczyło opowiadanie, opowiadający żołnierzem niemieckim już nie był, ale we własnej wyobraźni stylizował siebie i swoją dolę tak jak stylizują dolę żołnierza — ale żołnie-

rza polskiego — słowa znanej piosenki „Idzie żołnierz borem, lasem”. Stereotyp „żołnierza” był żywy w świadomości mówiącego, działał na jego wyobraźnię; z tym stereotypem łączyła się dla niego niemieckość, co okolicznościowo wypłynęło w rozmowie. Nie był pod tym względem reprezentatywny i zresztą samo to zdanie było wykolejeniem autostylizacji.

Pewien góral, który w czasie pierwszej wojny światowej służył w armii austriackiej, opowiadał mi, że gdy się znalazł w niewoli rosyjskiej, musiał — jak wszyscy jego koledzy-jeńcy — poinformować pisarza wojskowego — Kozaka, w jakich okolicznościach trafił do niewoli. Jeden z jeńców, Czech, oświadczył, że przeszedł na tę stronę frontu z własnej woli. Kozak powiedział mu wzgardliwie: „nu, tak ty nie żołdat”. Na wojennego przeciwnika patrzył przez pryzmat stereotypu myślowego „żołnierz”, oceniając go według tego kryterium, nie rozważając spraw, o które toczyła się walka. Nieprzypadkowo kozacy stanowili militarną oporę caratu.

Punkt widzenia humanisty, którego interesują słowa jako elementy procesów społecznych, jest punktem widzenia swoistym, nie pozwalającym objąć całości tych procesów, ale pozwalającym czasem rozumieć, jakie sprężyny uruchamiają ich mechanizmy, rozumienie zaś tych mechanizmów powinno wzmacniać w społeczeństwie reakcje obronne przeciw nadużyciu słów, przeciw działaniu stereotypów głuszących zdrowy rozsądek prostego człowieka, przeciw nasiąkaniu atmosfery umysłowej pierwiastkami klęskowego — zawsze kiedyś klęskowego — irracjonalizmu.

Na klamrach pasków żołnierzy armii wilhelmowskiej, potem hitlerowskiej — umieszczone były — przetrwało to zapewne i w armii NRF — napisy „Gott mit uns” — ten zaś „Gott” był parawanem, poza który żołnierz nie powinien wyglądać, żeby nie zrozumiał, na czym polega jego właściwa, realna, społeczna i międzynarodowa rola i funkcja. Franco wspierany przez Hitlera i Mussoliniego (głosciciela hasła: „Credere, obbedire, combattere”) prowadził oddziały afrykańskie, wśród nich murzyńskie, do walki z Hiszpanią republikańską pod hasłem „Niech żyje Chrystus Król”! Wojska carskie w Rosji były nazywane przez kler prawosławny „христолюбивое воинство” — „wojsko miłujące Chrystusa”, które to słowa maskowały treść mało mającą wspólnego z ideałami chrześcijańskimi. W Związku Radzieckim walka z siłami sprzymierzającymi się przeciw rewolucji pod takimi i innymi, — ekonomicznymi — hasłami była ciężką, krwawą i długą „drogą przez mękę”. O tym, że z tych walk rewolucja wyszła zwycięsko, rozstrzygnęło to, co się działo w duszach jej szeregowych uczestników: historię kształtuje człowiek. „Krasnoarmiejcy” mobilizowani sugestywnymi dla nich hasłami (od jednego z nich słyszałem: „теперь будет право народа” — «teraz będzie prawo ludu») nie przeżywali wewnętrznych konfliktów, bili się i odpierali kolejne fale kontrrewolucyjnych wojsk Kornilowa, Judenicza, Kołczaka, Krasnowa, Kaledina, Denikina, Wrangla. Wojska Denikina posuwały się naprzód na

froncie, ale za nimi zaczynały płonąć tyły, bo po ich stronie barykady nie było hasła, które mogłoby skupić, zmobilizować i porwać masy.

U nas słowo *żołnierz* w roku 1918 było stereotypem żywym, o czym świadczyło między innymi powodzenie i szerzenie się piosenek żołnierskich, nawet o tak zaskakujących słowach jak: „Jak to na wojence ładnie, kiedy ulan z konia spadnie”. Osobliwość takiego ujęcia trochę łagodził fakt, że niejednen ze śpiewających tę bardzo dawną zresztą piosenkę wiedział, że sam może się stać przedmiotem takiego widowiska. Odżyła w owym czasie urwana tradycja państwowa, co dobrze rozumiał Lenin, i dał temu wyraz w ciekawych, spokojnych, uwagach na temat roku 1920.

Żywym stereotypem, symbolem, modelem społecznym było u nas pojęcie *żołnierza* także w roku 1939, symbolem pieczętowanym krwią — słowa i krew nierzadko się z sobą łączą — tysiacy obrońców sprawy, którą ujął poetycko Broniewski w wierszu „Bagnet na broń” zakończonym myślowym zwrotem do Francji i przypomnieniem nad Wisłą Cambronne'a: „A gdyby umierać przyszło, Przypomnimy, co rzekł Cambronne, i powiemy to samo nad Wisłą” (Obie wersje słów Cambronne'a były poecie oczywiście znane).

Jeżeli język, przedmiot naszego badania interesuje nas jako fakt ludzki, jako proces pozostający w najściślejszym, związku z całym życiem człowieka, to i w nauce o języku, czyli w językoznawstwie, szukamy tego przede wszystkim, co nam pozwala lepiej rozumieć człowieka, w historii zaś językoznawstwa przyciągają naszą uwagę te fakty, dzięki którym stają się dla nas widoczne współzależności rozwoju nauki i procesów społecznych. Inaczej mówiąc, interesuje nas w obrębie humanistyki, nie tylko nauka gabinetowa, nazywana niekiedy nauką czystą ile społeczne projekcje nauki, zwłaszcza w wypadku, gdy chodzi o taki przedmiot jak język będący życiem samym załamującym się w pryzmacie słów i nie dający się badać jako wysublimowany preparat abstrakcyjnej myśli. Dotyczy to także naszego zainteresowania i losami językoznawstwa w Związku Radzieckim. Dlatego też pomijając koncepcje gabinetowego, erudycyjnego językoznawstwa, którego historia bywa często historią burz w szklance wody, zwróćmy się raczej ku tym działom językoznawstwa, których rozkwit przypada na okres istnienia państwa radzieckiego, widocznie więc pozostaje z nim w związku, zwłaszcza, co jest zrozumiałe, na drugą połowę tego okresu. Takim działem jest leksykologia jako nauka o jednostkach leksykalnych języka, a więc w pewnym rozumieniu teoria słownictwa ściśle się wiążąca z leksykografią jako nauką o opracowywaniu słowników, zwłaszcza słowników jednojęzycznych, interpretujących znaczenia wyrazów danego języka, czyli tak zwanych „tolkowych”, jak je nazywają Rosjanie. Jeżeli się powie, że leksykologia stanowi, a przynajmniej powinna stanowić, teoretyczną podstawę, fundament leksykografii i jeżeli się zważy, że fundamenty zakłada się po to,

żeby na nich budować gmach, to stąd by wynikało, że bez leksykograficznej realizacji leksykologia nic by nie dźwigała, byłaby bezużyteczna. I tak niewątpliwie jest. Do zadań słownika należy przedstawienie materiału wyrazowego w taki sposób, żeby stawały się możliwie widoczne panujące w tym materiale jednostajności, przede wszystkim w zakresie wzajemnych relacji form pochodnych i podstawowych, gdy formy te należą do różnych klas części mowy. Zagadnienia są niezmiernie złożone, wymagają nieustannego konfrontowania teoretycznych założeń czy koncepcji z materiałem, poza którym te założenia czy koncepcje tracą sens i treść, zawisają w próżni. Do niedawna leksykologia i leksykografia traktowane były jako dyscypliny nie należące w ogóle do językoznawstwa. W dużej książce Hansa Arensa poświęconej historii językoznawstwa pt. „Sprachwissenschaft. Der Gang ihrer Entwicklung von der Antike bis zur Gegenwart” (Freiburg-München 1955, s. 568), o leksykologii w ogóle nie ma wzmianki, leksykografia wspomniana jest tylko w związku z Leibnizem i Katarzyną II, czyli na dość dalekim marginesie w stosunku do językoznawstwa.

W różnych krajach europejskich panowała tradycja traktowania pracy słownikowej jako pracy galerniczej. Te czasy należą do przeszłości. Rozbudzenie zainteresowań pracą nad słownictwem w Związku Radzieckim było bezpośrednim następstwem wstrząsu rewolucyjnego, który jak to powiedział kiedyś prof. Kotarbiński miał siłę trzęsienia ziemi, przeobraził całą strukturę olbrzymiego dawnego imperium i wyzwolił siły kulturalne mas dotychczas bierne. W wieku XIX życie kulturalne rosyjskie skupiało się w nielicznych ośrodkach, a na prowincji panowała martwość. Stwierdził to w elegijnie wystylizowanej skardze poeta rosyjski: „...а там, во глубине России, там вековая тишина...” «a tam, w głębi Rosji — wiekowa cisza».

Ta cisza została przerwana. Powstały liczne nowe ośrodki i placówki kulturalne w najodleglejszych zakątkach państwa radzieckiego. W wielu dziedzinach techniki i kultury dokonany został skok naprzód, którego najwymowniejszym symbolem był pierwszy sztuczny satelita, sputnik, który nie tylko ukazał się na niebie, ale i utrwalił się jako wyraz w językach różnych narodów, — filologiczny refleks postępów techniki a nawet wywołał sympatyczny odruch w postaci obocznej do sputnika nazwy angielskiej baby-moon „dzieciątko księżyc”.

W r. 1957 ukazał się 1. zeszyt wydawnictwa Лексикографический сборник, który odtąd stał się wydawnictwem stałym. O leksykologii radzieckiej pisałem w „Studiach i szkicach językoznawczych”. Na tym miejscu chcę tylko przypomnieć, że zwrócenie się językoznawców radzieckich ku zagadnieniom praktyczno-kulturalnym było objawem dalszej ekspansji haseł Rewolucji, która zrodzona z protestu przeciw ideologii nacjonalistycznej tworzyła państwo wielonarodowe; pod względem naukowym z niezwyklej różnorodności języków można było wydobywać fakty sprzy-

jające rozwojowi teorii językoznawczej o charakterze niespekulatywnym, ale mocno opartej na materiale empirycznym. Można stwierdzić, że stworzenie intensywnego ruchu naukowego, intensywniejszego niż gdzie indziej, w dziedzinie leksykologii i leksykografii i powiązania tych dyscyplin z zagadnieniami ściśle lingwistycznymi jest zdobyczą i zasługą językoznawstwa radzieckiego, którego koleje losów były czasem skomplikowane i trudne, a przed którym się otwierają coraz rozleglejsze perspektywy rozwojowe.

Mieczysław Karaś

## ZE STUDIÓW NAD ZAPOŻYCZENIAMI OBCYMI W GWARACH POLSKICH

Badania nad polskim słownictwem gwarowym mają już długą tradycję i wiele wyrazów ludowych doczekało się szczegółowego rozpatrzenia zarówno od strony ich geo-grafii, jak i pochodzenia z różnych języków obcych. Niemniej jednak bliższe przyjrzenie się słownictwu ludowemu ukazuje, że w dalszym ciągu jest jeszcze bardzo dużo wyrazów, o których mało, lub zupełnie nic nie wiemy. Odnosi się to szczególnie do dialektów centralnych, gdzie dotychczas nie prowadzono systematycznych tego rodzaju badań. Najlepiej pod tym względem przedstawiają się gwary Warmii i Mazur (por. *Studia warmińsko-mazurskie*, pod red. W. Doroszewskiego, t. I—X, od r. 1958). Interesujące uwagi i spostrzeżenia przynosi też metodologicznie ważna praca K. Nitscha (*Studia z historii polskiego słownictwa*, Kraków 1948). Nie wymieniam tu licznych artykułów i rozpraw zamieszczanych na łamach *Poradnika Językowego i Języka Polskiego* (por. tam szczególnie cykl pt. *Ze słownictwa gwarowego*). Niniejsze dwa z tego zakresu przyczynki zajmują się dwoma wyrazami gwarowymi mianowicie *mere* i *karętować*, przy czym jeden z nich jest łacińskiego, drugi zaś łacińsko-niemieckiego pochodzenia. Przy tej okazji ujawnia się ciekawe zagadnienie dróg, jakimi wyrazy obce przenikały do polskich gwar, jednocześnie zaś poniższe wyrazy wykazują, że zapożyczenia te mogą być zupełnie nowe, a przy tym niezależne od polszczyzny literackiej.

### 1. MERE // MER

W znacznej części polskich gwar występuje nieznanym literackiej polszczyźnie przysłówek-spójnik *mere//mer*, wyrażający podobieństwo, przy czym wyraz ten występuje bądź to w połączeniu z *jak*, bądź też bez owego przysłówka, np. „to dziecko *mer* ociec”, lub też „on *mer* jak jego matka”. W ten sposób *mere//mer* można sprowadzić do znaczenia «zupełnie (jak)», wyrażającego w różnym zakresie podobieństwo, stopień podobieństwa oraz zupełną identyfikację zestawianych, czy porównywanych osób i rzeczy.

Interesujący nas wyraz, jak zaznaczyłem wyżej, nie występuje w całej Polsce; przeciwnie dotychczasowe jego poświadczenia wyznaczają



mu dosyć ciekawy zasięg geograficzny, zdaje się, nieobojętny dla wyjaśnienia pochodzenia tego przysłowka.

Na podstawie dostępnych mi źródeł *mere*, *mer* udało się stwierdzić w następujących miejscowościach<sup>1</sup>:

ok. Tarnowa, *mere* «całkiem, podobne jak»<sup>2</sup>; Będziemyśl p. Dębica *mere* «podobnie»<sup>3</sup>; Moszczenica p. Gorlice, *mere* «podobny zupełnie, identyczny» *mere* «ćóćec, *mere* matka»; Sękowa p. Gorlice „tyń Jaśu to *mere* «ćóćec; taki som na gymbe, ta sama młowa, tak śe ruso płowuolńe, ze fśyć-kym «ćóćec»; ok. Ropczyc, „On *mere* taki jak jego matka”<sup>4</sup>; ok. Ropczyc,

<sup>1</sup> Jeśli nie podaję nazwy miejscowości i źródła oznacza to, że materiał pochodzi z kartoteki Słownika gwar polskich PAN w Krakowie.

<sup>2</sup> B. Pawłowicz: Wyrazy gwarowe z okolic Tarnowa. PF IV, 1893, s. 307.

<sup>3</sup> J. Wolek Waclawski: Będziemyśl i Kłęczany. Rys. historyczno-etnograficzny. Jaworów 1937, s. 188.

<sup>4</sup> S. Udziela: Słowniczek gwary od Ropczyc. Rękopis; materiał podaję za Słownikiem gwar polskich J. Karłowicza.



*mere* «prawie, zupełnie, prawdziwie», też *merutnie*, *meruteńce*<sup>5</sup>; Podleśzany i Padew Narodowa p. Mielec, *meresz* «identyczny jak», „*meresz żadek*”; Nienadówka p. Kolbuszowa, *mere* «akurat, zupełnie»; ok. nad Sanem, bez bliższej lokalizacji, najprawdopodobniej ok. Krzeszowa, Bilgoraja, «niby, podobnie», „takie *mere* skorupiaki u nas (o ślimakach)”; „jak tak z *naszój* wsi idą *dziewki* do kościoła, to *mere* łogród niosą na głowach [= tyle mają kwiatów na głowach]<sup>6</sup>; Wierzchowiska p. Janów lub., „*İaş mere* jak jego *żadek*”; ok. Klimontowa p. Jędrzejów, „patrzta chłopcy co tu luda, a to *mere* jakieś cuda”<sup>7</sup>; Sieradzkie, „wściornaski chłopok, a choć skomo kulawy, loto *mere* bies za tą klempą Boską”<sup>8</sup>; ok. Sandomierza, *mere* «jakby niby»<sup>9</sup>; pow. Bielsk Podlaski, *mere* «jakoby, niby»<sup>10</sup>; okolice Wyszogrodu, *mere* on «jakoby on, podobny do niego»<sup>11</sup>; Mazowsze bez bliższej lokalizacji, „Do mnie się uśmiechnęła, *mere* zrebica — jedyna, *mere* zrebica” (z pieśni)<sup>12</sup>; ok. Sochaczewa, Łowicza, „do mnie się uśmiechnęła *mere* (niby) zrebica — jedyna”, (z pieśni)<sup>13</sup>; Międzyrzec p. Radzyń, *mere* «prawie, zupełnie»<sup>14</sup>; Turów p. Radzyń, „*mere* nase, *mere* ni, *mere* nasa owca, *mere* ni”<sup>15</sup>; Rościszew p. Sierpc, *mere* «niby», „jak zazyła i kichnęła i do mnie się uśmiechnęła, *mere* zrebicątko, oj dana, *mere* zrebicątko”, (z pieśni)<sup>16</sup>; ok. Tykocina „naród się modlił, patrząc w ich czerwone twarze, *mere* w ołtarz... *mere* diabol = niby diabeł, *mere* w całku nie patrzy, a wszystko widzi = niby wcale nie patrzy”<sup>17</sup>; Przędzel p. Nisko, *mer* «zupełnie podobny», „*uūn mer* uóćec, isny tata”, też *merutejki*, *uūna merutejkā* matka”.

<sup>5</sup> J. Sulisz: Zapiski etnograficzne z Ropczyc. Lud XII, 1906, s. 67.

<sup>6</sup> S. Kamiński: Chłop polski i jego gawędy w dosłownym orzeczu ludu naszego nad Sanem. Warszawa 1862, s. 43, 130.

<sup>7</sup> O. Kolberg: Lud, jego zwyczaje... Seria XXI, Radomskie II, Kraków 1888, s. 98.

<sup>8</sup> O. Kolberg: Lud, jego zwyczaje... Seria XXIII, Kaliskie I, Kraków 1890, s. 256.

<sup>9</sup> O. Kolberg: Lud, jego zwyczaje... Seria 1, Sandomierskie, Kraków 1865, s. 263.

<sup>10</sup> H. Łopaciński: Przyczynki do nowego słownika języka polskiego. PF V, 1899, s. 792.

<sup>11</sup> O. Kolberg: Lud, jego zwyczaje..., Mazowsze IV, Warszawa 1888, s. 70.

<sup>12</sup> K. Wójcicki: Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi znad Bugu..., Warszawa 1836, s. 307.

<sup>13</sup> O. Kolberg: Lud, jego zwyczaje..., Mazowsze II, Warszawa 1886, s. 131. Ten i poprzedni cytaty wskazują na wędrowność pieśni, a z nimi także wyrazów i wyrażeń gwarowych, które nie zawsze są nawet rozumiane przez śpiewających; tym bardziej takie relacje z pieśni nie mogą być wystarczające dla wyznaczenia geografii, a czasem i znaczenia danego wyrazu.

<sup>14</sup> A. Pleszczyński: Bojarzy międzyrzeccy... Warszawa 1892, Biblioteka Wisły nr XI, s. 37.

<sup>15</sup> W. Pracki: O mowie wsi Turowa. PF IV, 1907, s. 241

<sup>16</sup> R. Krzywicka: Gry i zabawy ludowe w Rościszewie (gub. płocka). Wisła V, 1891, s. 553/4.

<sup>17</sup> A. Osipowicz: Słowniczek gwary augustowskiej. Rękopis, materiał podaje za Słownikiem gwar polskich J. Karłowicza.

Interesujący nas wyraz spotykamy, najogólniej rzecz biorąc, w Małopolsce bez południa, przede wszystkim w Rzeszowskim i na Lubelszczyźnie, następnie zaś w Sandomierskim, Łowickim, następnie zaś na znacznej części Mazowsza aż po Tykocińskie na wschodzie. Jest to zatem wyraz typowo małopolsko-mazowiecki, przy czym ze względu na geografie (brak go na znacznych obszarach Małopolski, Śląska i Wielkopolski z Pomorzem) można go określić jako mazowizm, który ogarnął również Małopolskę północną, leżącą w zakresie wpływów mazowieckich. Na podkreślenie zasługuje tu fakt, że wyraz ten obejmuje zasadniczo dość zwarty obszar, który, co warto podkreślić, nie pokrywa się dokładnie z żadną dawną dzielnicą Polski, lecz zgadza się, oczywiście w najogólniejszych zarysach, z obszarem dawnego Księstwa Warszawskiego z wyłączeniem naturalnie Kresów wschodnich i Wielkopolski, i następnie Królestwa Kongresowego. Tak wyznaczona geografia, jak się niżej okaże, pozostaje w związku z pochodzeniem tego wyrazu.

Dla pełności obrazu należy jeszcze dodać, że obok *mere*, *mer* «jakoby, ni-by, zupełnie jak» spotykamy jeszcze inne tak samo brzmiące homonimy, mianowicie: *mere* «rodzaj partykuły», „miała mynarka cere *mere*, cere cyrku, łupu, cupu, eins, zwei, drei” (z pieśni), Dopczyce p. Myślenice<sup>18</sup>; oraz *mer* «zupełnie zmęczony, zepsuty» z Kaszub (z licznymi zaświadczeniami). Można tu wreszcie wymienić *mere*, *merem* «koniecznie, np. zachcieć się» ze Śmigna p. Tarnów<sup>19</sup>, być może w tym wypadku nie ma jakiegoś nieporozumienia, gdyż w przytoczonych wyżej materiałach *mere* mamy poświadczane wcale dobrze dla okolic Tarnowa. Oczywiście zarówno myślenickie *mere*, jak i kaszubskie *mer* nie mają nic wspólnego z przysłówkiem *mere*, *mer*. Źródła kaszubskie określają ten wyraz jako przymiotnik nieodmienny, nigdy zaś jako przysłówek<sup>20</sup>.

Jakie jest pochodzenie owego wyrazu? W Słowniku Warszawskim (t. II, s. 924) znajdujemy wskazówkę, że jego źródłem jest język łaciński, mianowicie znany w łacinie klasycznej i średniowiecznej przysłówek *mere* «czysto». Byłby to zatem latynizm w polskich dialektach przy czym, co ciekawe, nieznanymi literackiej polszczyźnie. Nie jest on zresztą dawny. Wskazuje na to niczym niezmienną postać polska, zupełnie zgodna z fonetyką łacińską. I tak pozostały bez zmian grupy: 1. *m + e*, 2. *e + r*. Zarówno brak zmiękczenia przed *e* (oczekiwalibyśmy dla dawnego zapożyczenia *mie-*, por. *Piotr*), jak i pochylenia przed *r* da się wyjaśnić, jeśli przyjmiemy owo zapożyczenie jako późne. W zupełnej z tym zgodzie jest właśnie opisana poprzednio geografia.

W dialektach spotykamy następujące formy interesującego nas przysłówka: *mere*, *mer*, *meruteńki*, *merutnie*, a więc formacje pochodne od

<sup>18</sup> H. Windakiewiczówna: Pieśni ludowe z Dobczyc. Lud VIII, 1902, s. 413.

<sup>19</sup> J. Witek: Słowniczek gwary śmigienieńskiej. MPKJ I, 1904, s. 22.

<sup>20</sup> Por. F. Lorentz: Slovinzisches Wörterbuch. I 625; tenże, Pomoranisches Wörterbuch I, s. 495, 499.

tego przysłówka, i to zarówno przysłówkowe, jak i przymiotnikowe. Tego rodzaju derywaty świadczące o silnym wchłonięciu owego obcego wyrazu, znamy także dla innych wyrazów zapożyczonych, por. śląskie *frechowny* z niem. *frech*, wielkopolskie *szlankowny* od niem. *szlank*, czy nawet *wartny* wobec literackiego *wart*. Niejasna dla mnie jest postać *meresz*, czy też *meres*; oczywiście mamy tu *mer(e)*, trudno jednak wyjaśnić owo końcowe *-s*, względnie *-z*. Może to po prostu oddana partykuła *-że* w zmazurzonej postaci? Wylączyć tej hipotezy nie można, ale niełatwo ją w pełni udowodnić. Wygląda to wszakże dość prawdopodobnie.

Jak widać, wyraz *mere*, *mer* rozpatrywany od każdej strony (formalnej i geograficzno-językowej) możemy uznać za zapożyczenie zupełnie nowe, i, co najważniejsze, zapożyczenie właściwe tylko niektórym dialektom, obce zaś literackiej polszczyźnie. W związku z tym intryguje pytanie, w jaki sposób wyraz ten przedostał się do dialektów polskich, pomijając oczywiście niejako ogniwo, jakim jest język literacki? Występowanie bowiem w dialektach latynizmów wspólnych z językiem literackim jest zjawiskiem prawie pospolitym, np. *aniół*, *adwent*, *fatygować*, *rankor*, *turbować się*, rzecz jasna w różnych postaciach fonetycznych, a niekiedy nawet morfologicznych, co zresztą nie dziwi, por. np. *janiół*, *jamiół*, czy też *jadwięt*, *hadwęt*<sup>21</sup>. Podobnie nie brak wyrazów łacińskiego pochodzenia, które niegdyś istniały w literackiej polszczyźnie, a obecnie zachowały się jedynie w dialektach, np. *womitować* «wymiotować», *arenda* «dzierżawa», z zupełnie nowych *aeroplan*. Obie te warstwy tłumaczą się zupełnie jasno. Gorzej natomiast wyjaśnić występowanie w gwarach takich właśnie wyrazów jak *mer(e)*, które są wyłącznie gwarowe. Trudno bowiem wskazać drogę, jaką one przeniknęły do gwar. Tak też przedstawia się sprawa z omawianym tu przysłówkiem. Niełatwo też dać jednoznaczne przekonujące wyjaśnienie.

Otóż wydaje się, że *mer(e)* zawdzięcza swoje rozpowszechnienie szkole świeckiej, ludowej, jaka powstała w wyniku działania Komisji Edukacji Narodowej w końcu XVIII w., przy czym skutki tej działalności właśnie najdłużej utrzymały się na terenie najpierw Księstwa Warszawskiego, następnie zaś Królestwa Polskiego. Oczywiście wyraz ten przedostał się do języka potocznego, początkowo chyba miejskiego, a nie pisanego i to tylko w części polskiego obszaru. Wydaje się, że nie ogarnął języka Warszawy, co przesądziło o jego gwarowym zasięgu. Być może, iż na terenie zaboru austriackiego mógł tu współdziałać urzędowy charakter łaciny, co, jak wiadomo trwało do 1848 r. Jednym słowem, jako źródło i droga rozpowszechnienia występują tu już nowe czynniki (szkoła i administracja, nie zaś kościół i dwór).

<sup>21</sup> Por. K. Nitsch: Ze słownictwa gwarowego: *aniół*. JP XXXII, 1952, s. 34 oraz *Janwicta* (l. mn.) = *adwent*. JP XXVI, 1946, 161—6.

Wysunięte tu wyjaśnienie pozostanie jedynie pociągającą hipotezą, i to tak długo, dopóki wpływy łacińskie w języku polskim nie doczekają się wszechstronnego i syntetycznego rozpatrzenia. Wyraz *mer(e)* ukazuje jedynie nową problematykę i nowe trudności. Niniejsze propozycje należy zaś traktować jako postawienie a nie rozwiązanie podniesionych trudności. Osobny problem, szczególnie ciekawy stanowią wyrazy obce, niegdyś właściwe językowi literackiemu, następnie tylko gwarowe.

Na koniec jeszcze jeden szczegół. Otóż, jak widać, mamy tu do czynienia z dwoma postaciami, mianowicie *mere* (częstsze)//*mer* (rzadsze). Oczywiście *mer*  $\leq$  *mere*; ostatnia zresztą postać jest identyczna z podstawą łacińską. Co się zaś tyczy zaniku *-e*, to fakt ten znajduje oparcie w różnych rodzimych tego typu wahaniach, np. *teże*//*też*, *ize*//*iż*, czy w obocznościach przyimkowych *bez*//*beze*, *nad*//*nade*, *ob*//*obe*, *od*//*ode*, *pod*//*pode* *przed*//*przede*, *w*//*we*, *z*//*ze*, przedrostkowych *roz*//*roze*-. Tak więc zmiana *mere*  $\geq$  *mer* byłaby jedynie dalszym dostosowaniem owego wyrazu do fonetyki polskiej, typowej dla tej kategorii wyrazowej.

Przy okazji warto przypomnieć, że zanik wygłosowych samogłosek nie jest dla polszczyzny czymś nowym i rzadkim. Zjawisko to obserwujemy w odniesieniu do *i* (*y*), *e*, *o*, *á*, por. rozwój polskiego bezokolicznika i rozkaznika, następnie *jak*//*jako*, *podróż*//*podróżá*<sup>22</sup>. Podobne fakty znane są również z innych języków słowiańskich (serbsko-chorwacki, języki łużyckie, por. też zachodnio-wielkopolskie *tyg*  $\leq$  *tygo*).

Jak widać wyraz *mer(e)* wymaga objaśnienia od wielu stron. Najtrudniej jednak wytłumaczyć drogę, jaką dotarł on do gwar języka polskiego. Pokazanie owych trudności jest zasadniczym celem niniejszego artykułu.

## 2. KARĘTOWAĆ «KARCIC, STROFOWAĆ, UPOMINAC»

Wyraz ten podaje Słownik Warszawski (t. II, s. 258) jako ludowy zapatrując go odpowiednim cytatem z Masłowa w pow. kieleckim (zob. niżej) i wyróżnia następujące znaczenia *karantować*: 1. «łajać, karcic»; 2. «uśmierzać»; 3. «napominać». Wyraz sam, zdaniem autorów słownika, jest pochodzenia niemieckiego, mianowicie odpowiada czasownikowi *karanzen* «karcic, batożyć». Niestety nie wiemy, na czym opiera się powyższe stwierdzenie. Odnosi się to szczególnie do pochodzenia tego wyrazu. Wątpliwości budzi, szczególnie, zastępstwo niem. *c* przez polskie *t* (*kara-*

<sup>22</sup> Por. E. Ostrowska: *Podgórze i Podgórz, naręcze i naręcz*. JP XLIV, 1964, s. 32—8, a także M. Karas: *Nazwy Podgórze, Zalas w języku polskim i w innych językach słowiańskich*. Wrocław 1955. Zagadnienie powyższe zasługiwałoby na szczegółowe opracowanie zarówno dla języka polskiego, jak też na tle porównawczym, słowiańskim.

nzen//karantować). W każdym jednak razie sam wyraz jest interesujący (bo niezupełnie jasny) i dlatego warto się mu bliżej przyjrzeć.

Zacznijmy od materiału. Okazuje się bowiem, że interesujący nas czasownik nie jest wcale rzadki, i że wykazuje ciekawą i dość określoną geografiją. Istnieją też inne formacje oparte o podstawę *karęt-* (nie *karant-*, jak podaje SW; Słownik gwar polskich J. Karłowicza ustala również jako hasło *karantować*). Oto przykłady:

*karąntovać* «karcić», „*karantujće tego xupąka*”, *karętność* «karność», Nienadówka p. Kolbuszowa<sup>23</sup>; *karąntovać*, *pşykarąntovać* «karcić, ująć w karby, napominać», „*pşykarąntujće tygo xupąka, z nygo taki xuncfát, co ias*”, Przędzel p. Nisko; *karántovać* «karcić», Pysznicza p. Nisko<sup>24</sup>, *karętność* «karność», Dzierzkowice p. Janów (lubelski)<sup>25</sup>; *karetovać* «upominać kogoś, by coś dobrze zrobił», „*uóni mé karetovaly*”, Borki Nizińskie p. Mielec<sup>26</sup>; *karęcić//karantovać* «łajać, upominać», „*né karenż guo, buo niż né vińen*”, „*né karentuj guo, buo un niż vińen*”, Samocice p. Dąbrowa Tarnowska; *karęcić* «podburzać», „*né byde karyńćić, ale puovim, ze byi baba*”, Chotel Czerwony p. Busko; *karętność* «dyscyplina», Ostrowce p. Busko; *karantovać* «połajać, uśmierzyć», ok. Sandomierza<sup>27</sup>; *karantovać*, „*żona karantuje swego przyjaciela (męża), żeby wódki nie pił*”, Masłów p. Kielce<sup>28</sup>.

Tak więc mamy do czynienia z następującymi wyrazami związanymi z interesującym nas rdzeniem: *karęcić*, *karętować*, *karętność*. O tym, że należy przyjąć *ę*, nie zaś *an* (jak to spotykamy w wielu zaświadczeniach) przekonują przede wszystkim zapisy z Borków Nizińskich i Samocic, gdzie mamy *e* ≤ *ę* i po prostu *ę* (realizowane jako *en*). Także inne zaświadczenia nie przeczą takiemu ujęciu. Z postaci *karęt-* dadzą się wywieść wszystkie przytoczone wyżej realizacje, gdy tymczasem postać *karant-* takich możliwości nie daje. Ponadto postać z *ę* z jednej strony wskazuje, że jest to wyraz niedawno przyswojony, z drugiej zaś uzasadnia ludowy charakter owego zapożyczenia (por. *kontentować*, *konstatować*, ale *kolęda*, *wędrować*). Nowsze zapożyczenia literackie na ogół zatrzymują obce grupy *samogłoska + N*, zwłaszcza przed spółgłoskami zwartyymi (por. jednak dawniejsze *bronz*, od r. 1936 *brąz*). Sprawa fonetyki owego wyrazu nie jest jednak czymś zasadniczym. Zarówno bowiem *a + N*,

<sup>23</sup> Materiały, przy których nie podaję źródła, pochodzą z kartoteki Pracowni Atlasu i Słownika Gwar Polskich Zakładu Językoznawstwa PAN w Krakowie.

<sup>24</sup> G. Blatt: Gwara ludowa we wsi Pysznicza w powiecie niskim. RWF XX, 1894, s. 429.

<sup>25</sup> H. Łopaciński (R. Lubicz): Przyczynki do nowego słownika języka polskiego. PF V, 18, s. 758.

<sup>26</sup> E. Klich: Narzędze wsi Borki Nizińskie. Prace Komisji Językowej PAN, II, Kraków 1919, s. 67.

<sup>27</sup> O. Kolberg: Lud... Seria I, Sandomierskie, Warszawa 1865, s. 262.

<sup>28</sup> W. Siarkowski: Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc. Zbiór Wiadomości do Antropologii Krajowej... II/3, 1878, s. 248.

czy  $e+N$  na terenie, gdzie *karętować* występuje, zawsze przynajmniej u starszego pokolenia realizuje się jako samogłoska nosowa  $ę//ǫ//ą$  nawet przed spółgłoskami zwartymi. Realizacja jako  $aN$  jest niewątpliwie zupełnie nowa i tłumaczy się bądź to jako oddziaływanie języka literackiego, bądź też jako hiperpoprawność w stosunku do sąsiednich gwar beznosówkowych, które sięgają mniej więcej aż po linię Tarnów—Rzeszów. Jak widać, *karętować* występuje właśnie na terenie gwar beznosówkowych, mianowicie od Dębicy i Kolbuszowej na południu po Kielce na północy oraz od Buska na zachodzie po Janów lubelski na wschodzie. Ma więc ten wyraz wyjątkowo zwartą geografie; obejmuje bowiem swym zasięgiem wyłącznie obszar Małopolski północnej. Nigdzie poza tym nie udało się go zanotować.

Znamy więc, zdaje się, wcale dokładną geografie wyrazu *karętować*. Z kolei kilka słów o znaczeniu. Istotnie w rzeczowniku *karętność* wyraźnie mamy do czynienia ze znaczeniem «karność, dyscyplina», to samo da się powiedzieć o czasowniku. Inna sprawa, że stosunek formalny *karętować*: *karętność* nie jest zupełnie jasny. Oczekiwalibyśmy raczej *karętowość*. Co jest więc podstawą tego rzeczownika. Otóż pochodzi on od niepoświadzonego przymiotnika *karętny*, i wówczas formantem słowotwórczym byłby tu przyrostek *-ość*; względnie trzeba go łączyć z *karęcić*, a wtedy musimy przyjąć wtórny przyrostek *-ność*. Zaświadczeń dla *karęcić* nie ma wiele, w każdym jednak razie taki czasownik istnieje (Nienadówka, Samocice); brak zaś wszelkich poświadczeń dla ewentualnego przymiotnika *karętny*. Z tego powodu najlepiej przyjąć derywację odczasownikową. Owe zresztą wątpliwości wskazują na względną późność rzeczownika *karętność*, jak też i jego podstawy, mianowicie *karęcić//karętować*.

Z kolei słów kilka na temat pochodzenia interesującego nas wyrazu. Otóż jego obcość w języku polskim nie budzi najmniejszych nawet zastrzeżeń. Wskazuje na to z jednej strony nieustalona forma ( $e//an$ ), choć ten moment można tłumaczyć wyłącznie gwarowym zasięgiem owego wyrazu. Ważniejsza jest tu geografia, a to bardzo mały zasięg *karętować//karęcić*; jeszcze mniejszy obszar zajmuje utworzony od niego rzeczownik *karętność*, niezupełnie zresztą pewny, jeśli idzie o podstawę słowotwórczą. Wreszcie i znaczenie *karętować//karęcić* nie pozwala na łączenie go z jakimkolwiek wyrazem rodzimym. W tym stanie rzeczy musimy sięgnąć do jakiegoś języka obcego. Już na początku wspomniałem, że Słownik Warszawski wyprowadza ten wyraz z języka niemieckiego. Wydaje się, iż jest to sugestia na ogół słuszna. Istotnie w języku niemieckim znajdujemy *kuranzen* «wziąć na wychowanie, źle traktować», przy czym nie brak starszych form *koranzen*, *karanzen*, *kurrenzen*. Wprawdzie wyraz ten znajduje poświadczenie dopiero w wieku XVII, niemniej jednak przyjmuje się, że istniał znacznie wcześniej w języku klasztornym, a rozpowszechniony został przez gwarę studencką. W dzisiejszych

dialektach występuje on na bardzo dużym obszarze (dialekty bawarskie na południu i dawne wschodniopruskie na północy). Niem. *kuranzen* łączy się z łac. *caerentia*, który to rzeczownik w łacinie średniowiecznej oznaczał «ćwiczenie pokutne z postami i biczowaniem». Warto jeszcze dodać, że w gwarach niemieckich znajdujemy również znaczenia «strofować, napominać»<sup>29</sup>. W oparciu o przytoczone materiały niemieckie łacińskie pochodzenie interesującego nas wyrazu w zupełności przekonuje. Powstaje jedynie pytanie, czy polska postać wywodzi się z niemieckiego, czy też z łaciny. Trudno dać jednoznaczną odpowiedź na owo pytanie. Wydaje się, że dopiero syntetyczne opracowanie zapożyczeń polskich z obu tych języków może przynieść rozstrzygnięcie. Na razie wystarczy stwierdzić, że mamy tu do czynienia z zapożyczeniem łacińsko-niemieckim, i to stosunkowo późnym, przy czym, co ciekawsze, nieznanym polszczyźnie literackiej, aczkolwiek jego źródłem jest łacina klasztorna lub szkolna<sup>30</sup>.

<sup>29</sup> Por. F. Kluge: *Etymologisches Wörterbuch der deutschen Sprache*. Wyd. 18, przerobione przez W. Mitzka, Berlin 1960, s. 413. Postać dzisiejsza (hochdeutsch) ukształtowała się pod wpływem *kurrentzen* «chłostać», lub *kurieren* «troszczyć się». Wyraz ten notuje J. i W. Grimmów: *Deutsches Wörterbuch*, przerobiony przez R. Hildebranda, Lipsk 1873, t. V, s. 2793, gdzie znajdujemy dane historyczne i dialektologiczne. Tu chyba należy również znana już Knapskiemu *karencja* (też *karan-cja*) «potrącanie za karę z pensji, zarobku, karanie kogo na dochodzie», wg SW z włoskiego *caerentia*. Dzisiaj *karencja*, to wyraz sportowy, oznaczający «odsunięcie na jakiś okres gracza od gry, mianowicie przy zmianie przynależności klubowej»; tak więc i tu mamy pewnego rodzaju karę i zarazem zabieg wychowawczy. Czy mamy tu do czynienia z dalszym rozwojem łac. *caerentia*, trudno ostatecznie orzec. Wszystko wskazuje, że tak. Wymaga to jednak dalszych, szczegółowych i porównawczych badań.

<sup>30</sup> Na łacińskie, a nie niemieckie pochodzenie *karętować* wskazuje właśnie spółgłoska -t-, którą łatwiej wyjaśnić łac. -t-, niż niem. -z- = -c-.

Alfred Mielczarek

## POJĘCIE DEFINICJI W ZASTOSOWANIU DO TERMINOLOGII WOJSKOWEJ

W kielkującej teorii terminologii wojskowej dopiero co zaczęła wylań-  
niać się słuszna myśl, aby oprzeć ją na ogólnych podstawach językozna-  
wczych i logicznych, a już występują tu i ówdzie, jak się wydaje, uzasa-  
dnione obawy co do celowości przenoszenia do niej pewnych założeń ogól-  
nych w ich tradycyjnym sformułowaniu.

Teoria terminologii wojskowej przypomina w chwili obecnej budo-  
wę miasta, której powodzenie zależy przede wszystkim od właściwych  
koncepcji teoretycznych jej kierowników i to takich, którzy ponosząc  
tak wielką odpowiedzialność postanowili przyjąć tylko te założenia, któ-  
re rzeczywiście umożliwiają bądź ułatwiają budowę miasta w praktyce.  
Ten zdawałoby się prosty postulat wymaga jednak niekiedy głębszego  
zastanowienia się nad pewnymi podstawami, które tradycyjnie uchodzą  
za ogólnonaukowe. Przede wszystkim ciągle obowiązują założenia do-  
tyczące definiowania.

Rozważmy problem na przykładzie. W „Leksykonie Wojskowym” re-  
daktor działu „socjologia wojny i wojska” ma zdecydować, czy niżej za-  
mieszczone objaśnienie hasła *militaryzm* odpowiada kryteriom dobrej  
definicji. Czytamy tam „Militaryzm jest to służenie w dziedzinie wojsko-  
wej interesom pasożytniczych klas nie pracujących bądź w postaci zbroj-  
nej przemocy reakcyjnej mniejszości nad postępową większością, bądź  
w postaci organizowanej i dokonywanej pod jej przewodem agresji wo-  
jennej jednych narodów przeciw innym”<sup>1</sup>.

Pomijam tu narazie problem praktyczny, jakimi kryteriami (przy  
opracowywaniu definicji hasła tego typu co *militaryzm*) będzie się kie-  
rował redaktor reprezentujący określoną orientację polityczną. Załóżmy  
więc, że obecnie chcemy sformułować definicje wyłącznie zgodnie z obie-  
ktywizmem naukowym i w związku z tym ponownie stawiamy stare py-  
tanie: czy w nauce reprezentującej najwyższą formę świadomości spo-  
łecznej są i jakie są kryteria obiektywnego opracowania definicji, czy  
istnieją naukowe dyrektywy ułatwiające wyróżnienie definicji spośród

<sup>1</sup> Wg W. I. Skopina: *Militaryzm*. Warszawa 1959, Wydawnictwo MON, s. 31.



wszystkich rodzajów stwierdzeń? Pytanie to można postawić jeszcze tak: czy istnieje jakiś wspólny (ogólnonaukowy) schemat rozumowania określający, jakie dane musi zawierać stwierdzenie (objaśnienie), przy którego pomocy można by każde pojęcie tak wydzielić z ogólnego tła rzeczywistości, żeby to wyodrębnienie było obiektywnie bezsporne?

### 1. O PRZYDATNOŚCI FORMALNEGO POJĘCIA DEFINICJI W SŁOWNICTWIE I LEKSYKOGRAFII SPECJALNEJ

W poszukiwaniu odpowiedzi na tego rodzaju pytania część specjalistów (raczej starszego pokolenia) przyzwyczaiła się do szukania porad w logice. Wypada tu najpierw przypomnieć niektóre terminy logiczne zaczynające się od słowa *definicja*. Bywa zatem *definicja realna, fałszywa, klasyczna, indukcyjna (rekurencyjna, ancestralna), wyraźna, uwikłana, kontekstowa, nominalna, treściowa, zakresowa, syntetyczna (projektująca), konstrukcyjna, analityczna (sprawozdawcza), regulująca, cząstkowa, operacyjna, ostensywna (deiktyczna), słowna, aksjomatyczna, równościowa, semantyczna, definicja przez abstrakcję, definicja przez postulaty*.

Specjalista poszukujący wskazówek, jak opracowywać definicję, aby była ona zgodna z rzeczywistością, szybko się jednak zniechęca. Łatwo zauważa on, że ten zadziwiający potężny gmach terminologiczny i reprezentowana przez niego teoria nie sprzyja mu. Umożliwia ona bowiem nazywanie definicją, każdego stwierdzenia, które jego zdaniem nią nie jest. Zastosowanie w słownictwie i leksykografii specjalnej niektórych postulatów tej teorii jest zawodne. W tym zakresie nauka logiki sprawia wrażenie podobnej do prawa czyniącego prawomocnym każdy akt działania, jeżeli tylko strona ma na swych usługach sprytnego adwokata.

Terminologia logicznej teorii definiowania dziwi specjalistę jeszcze od innej strony. Jest ona zbudowana zbyt nieproporcjonalnie. Najbardziej rozwinięte jest nazewnictwo związane wyłącznie z jednym (wyjściowym) pojęciem *definicja*. Terminologia reprezentująca w logice inne pojęcia teorii definiowania jest o wiele uboższa.

Logiczną konsekwencją bardzo rozgałęzionej rozbudowy terminologicznej jednego pojęcia jest w istocie zanik pojęcia naczelnego i brak ustabilizowanej struktury pojęć podrzędnych. Któż bowiem jest w stanie opracować taką logiczną definicję definicji, aby np. objęła ona pojęcia (znaczenia) kryjące się zarówno pod nazwą *definicja realna*, jak i *definicja słowna* czy też *definicja semantyczna*<sup>2</sup>.

O tym, jakie rzeczywiście występują tu pojęcia definicji, najlepiej mogłaby zaświadczyć pełna polisemia wyrazu *definicja* opracowana na podstawie wszechstronnie i wnikliwie przeprowadzonej ekscerpcji.

<sup>2</sup> Osobnym zagadnieniem byłoby badanie polegające na zastosowaniu zasad po działu logicznego, w niektórych klasyfikacjach definicji stosowanych w logice.

Nasze skromne badania zaczęliśmy od analizy przydatności formalnej postaci definicji w słownictwie i leksykografii wojskowej. Jak wiadomo, w logice definicją nazywa się wyrażenie językowe składające się z trzech członów: 1) *członu definiowanego (definiendum)*, 2) *spójnika definicyjnego*<sup>3</sup> (zawnego też *zwrotem łączącym*), 3) *członu definiującego (definiens)*. Przykład: Anoda (*definiendum*) jest to (spójnik) elektroda dodatnia (*definiens*).

Po głębszym zastanowieniu okazuje się, że dla specjalisty i zapewne leksykografa, ten porządek budowy definicji nie tylko, że nie ma większego znaczenia, ale jest przyczyną pewnych nieporozumień. W teorii definiowania umiejętność nazywania poszczególnych członów zdania definicyjnego jest mało ważna, gdyż mimo pewnego formalnego porządku wprowadza się tu szkodę natury semantycznej. Tak np. pod względem formalnym określenie *militaryzmu* odpowiada kryterium definicji, chociaż jak to postaram się wykazać, jest nieściśle pod względem merytorycznym. W terminologii i leksykografii specjalnej formalne pojęcie definicji jest mało przydatne przez to, że utożsamia z definicją każde zdanie objaśniające (składające się z trzech wymienionych członów). W terminologii i chyba nie tylko w terminologii potrzebne jest takie pojęcie definicji, które zdecydowanie wyróżniałoby ją spośród wszystkich innych stwierdzeń, będących odpowiedzią na pytanie „co to jest”?

Należy tu jeszcze zaznaczyć, że w leksykografii i słownictwie specjalnym i również pod względem formalnym istnieje inny porządek i nazewnictwo. Występują tu w istocie dwa pojęcia: *wyraz hasłowy* (lub *termin*) i *definicja*. Z tym, że wtedy formalne pojęcie *definicji* odnosi się jedynie do tego, co w logice nazywa się *definiensem* «członem definiującym». Jest to zresztą zgodne z etymologicznym znaczeniem wyrazu *definicja*, łac. *definitio* = określenie, a nie to, co jest określane. Nieco żartu: jeżeli autor hasła słownikowego opracowałby jedynie *definiendum* i *spójkę*, i np. napisałby: „Bursztyn jest to”..., to wtedy redaktor leksykograf pod żadnym względem nie uznałby niniejszego tekstu za opracowanie 2/3 definicji. Wydaje się, że wraz z rozpowszechnianiem się wydawnictw encyklopedycznych i słownikowych pod pojęciem definicji będzie się wyłączało rozumiało *człon definiujący*. Pojęcie *spójki* w postaci formalnej w leksykografii w istocie już nie istnieje. Zaginęło ono od momentu wprowadzenia w encyklopediach i słownikach myślnika (kreski) lub przecinka po wyrazach hasłowych.

Jakież potrzeby społeczne przemawiają za tym, aby było inaczej? Co się tyczy terminologii stosowanej w nauce, to i ona nie może się z nimi nie liczyć pod groźbą zerwania kontaktu ze społecznym systemem

<sup>3</sup> Wspomniany termin *spójnik* używany w logice odpowiada *spójce* czy *łącznikowi* w gramatyce, w której zresztą słowo *spójnik* ma inne znaczenie. Postaram się wykazać tu nomenklaturę logiczną dla dokładności cytowania czy powoływania się na teksty logiczne.

porozumiewania się. Słownictwo i leksykografia specjalna muszą dążyć do tego, aby myśl dotycząca formalnej postaci objaśnienia (stwierdzenia) nie odbijała się ujemnie na funkcji informacyjnej. Pod tym względem nie możemy sobie pozwolić na żadne ustępstwo. Wydaje się, że w dobie obecnej każda teoria naukowa powinna spełniać rolę podobną do moralności (opartej na najnowszych założeniach społecznego postępu i wrażliwości człowieka) przenoszącej swe zasady postępowania ponad literę prawa. Jednocześnie nie należy zaniedbywać swego wpływu na takie formułowanie litery prawa, aby nikt nie znajdował w nim argumentów, gdy nie ma racji pod względem moralnym. Jeżeli więc autor dostarcza do redakcji leksykograficznej objaśnienie, które pod względem treściowym nie odpowiada kryterium definicji, to chociaż jest ono poprawnie zbudowane i składa się z *definiendum*, *spójnika* i *definiensa*, to wielkim nieporozumieniem naukowym i społecznym jest nazywanie go definicją. Dlaczego nauka ma dopuszczać do tego, aby jakiegokolwiek względy formalne ułatwiały przemycanie wielu stwierdzeń jako definicji? Dlaczego jednocześnie mamy godzić się, aż na takie zdegradowanie znaczenia przymiotnika *formalny*? Nieprawdą jest, że myśl reprezentowana w życiu przez zwrot słowny: „... to jedynie formalność”, może być obojętna w organizmie nauki.

W warunkach prac leksykograficznych jesteśmy zmuszeni wybijać z ręki wszystkie argumenty „logiczne”, tym twórcom definicji, którzy na swą obronę mają jedynie argumenty „formalne”. W określaniu definicji musimy przede wszystkim przyznać prymat stronie semantycznej. Sądzić należy, że nasze intencje właściwie rozumieją również ci, którzy w dobrej wierze współtworzą teorię definiowania. Wydaje się też, że interes obiektywnej nauki i jej integracji wymaga, aby pojęcie zdania składającego się z *członu definiowanego*, *spójki* i *członu definiującego* nie utożsamiać sztucznie z pojęciem *definicji*. Tak zbudowane jest każde zdanie objaśniające i dobrze ujęte pod względem stylistycznym. Ktoś, kto upierałby się przy twierdzeniu, że tak zbudowana może być tylko definicja spowoduje, że pojęcie definicji rozplynie się wśród pojęć innych stwierdzeń i tym samym straci ważny środek szczególnego wyodrębniania niektórych treści.

## 2. O NIEKTÓRYCH KONSEKWENCJACH FORMALNEGO POJĘCIA DEFINICJI LOGICZNEJ

Łączenie pojęcia definicji z jej postacią formalną myliło nieraz nie tylko ludzi przeciętnych, ale nawet poważnych teoretyków. Gdy np. o militarystyce Lenin pisał: „Współczesny militarystyka jest wynikiem kapitalizmu. W obu swych formach stanowi on żywy przejaw kapitalizmu: jako siła zbrojna używana przez państwo kapitalistyczne w ich starciach zewnętrznych... i jako broń służąca w rękach klas panujących do tłu-

mienia wszelkiego rodzaju (ekonomicznych i politycznych) ruchów proletariatu”<sup>4</sup>..., Skopin potraktował to stwierdzenie jako leninowską definicję militarizmu. I na tej podstawie określił militarizm jako „służenie w dziedzinie wojskowej interesom pasożytniczych klas”<sup>5</sup>. Jest to dobitny przykład uczący, że chociaż stwierdzenie autora zawiera *definiendum* (militarizm), *spójnik* (jest to) i *definiens* (służenie w dziedzinie wojskowej interesom pasożytniczych klas) nie może być uznane za definicję. Nie wdając się tutaj w szczegółową analizę tego stwierdzenia, warto jednak wykazać tu brak w stwierdzeniu Skopina *informacji definicyjnej*. „Przy takim rozumieniu militarizmu, pisze J. Wiatr — łatwo dowieść, że wszystkie albo niemal wszystkie państwa kapitalistyczne są militarystyczne”<sup>6</sup>. Co więcej dosłowne rozumienie stwierdzenia: „służenie w dziedzinie wojskowej interesom pasożytniczych klas nie pracujących” sugeruje, że za imperializm trzeba by też uznać odbywanie służby wojskowej przez każdego obywatela w każdym państwie, w którym rządzą klasy nie pracujące. Co się zaś tyczy wypowiedzi Lenina na temat militarizmu, dalej autor pisze: „Lenin jednak w cytowanym artykule nie podejmował się definiowania militarizmu, a jedynie używając potocznego określenia pokazywał związek sygnalizowanych zjawisk z samym systemem kapitalistycznym, co ma niewątpliwie znaczenie teoretyczne, ale czego nie można uważać za substytut definicji”<sup>7</sup>.

Jak widać, dotychczasowy pogląd na formalną postać definicji sprzyja wielu nieporozumieniom. Tutaj m.in. tkwi jedna z pierwszych przyczyn tego, że istotnie rozumienie definicji nie zdobyło jeszcze prawa obywatelstwa nie tylko w świadomości społecznej, ale i myśleniu naukowym.

Gdy ludzie bardzo często toczą ostre spory o definicje to warto, aby najpierw wiedzieli, jakiego rodzaju twierdzenia bronią.

Sądzić można, że gdyby teoria definiowania zajęła się badaniem historii pomyłek wynikłych na gruncie nieporozumień, co do pojęcia definicji, to być może dopiero wtedy uzmysłowilibyśmy nauce i społeczeństwu wagę tej sprawy, która w ostateczności dotyczy świadomości stwierdzenia człowieka. Tutaj najczęściej tkwi źródło jakże poważnych nieraz nieporozumień językowych. „Jestem skłonny myśleć — pisze Locke — że gdyby zbadało się głębiej niedoskonałości języka, większa część sporów upadłaby sama przez się, i droga poznania, a może i pokoju, byłaby bardziej otwarta”<sup>8</sup>.

<sup>4</sup> W. Lenin: *Wojujący militarizm a antimilitarystyczna taktyka socjaldemokracji*. Dzieła t. 15. Warszawa 1956, s. 181.

<sup>5</sup> W pełnym brzmieniu cytujemy stwierdzenie Skopina na wstępie niniejszego artykułu, gdyż ono z kolei było m.in. rozważane jako projekt definicji hasła militarizm do *Leksykonu Wojskowego*.

<sup>6</sup> J. J. Wiatr: *Armia i społeczeństwo*. Warszawa 1960, wyd. MON, s. 107.

<sup>7</sup> J. J. Wiatr, tamże s. 108.

<sup>8</sup> Locke (w streszczeniu Leibniza), cytuje za W. Doroszewskim: *Wśród słów, wrażeń i myśli. Refleksje o języku polskim*. Warszawa 1966, PIW, s. 143.

### 3. O POTRZEBIE OSZCZĘDZANIA NAZWY DEFINICJA

Badając rolę definicji łatwo jest zauważyć łączność pojęć naukowych i ich wpływ na pewne strony życia społecznego. Okazuje się, że jakaś nieścisłość w myśleniu teoretycznym bardziej ma wpływ na proces porozumienia się ogółu ludzi niż przypuszczano.

Z tego m.in. względu przynajmniej w niektórych dziedzinach słownictwa specjalnego (jak np. terminologii socjologiczno-wojskowej) ogólne pojęcie definicji tu powinno być ściślej określone. Być może, że wraz z procesem uściślenia pojęć ogólnych na użytek słownictwa specjalnego, łatwiej będzie uściślać je w zakresie ogólnonaukowym i ogólnospołecznym.

W tej chwili słownictwo i leksykografia specjalna powinna najpierw zacząć od oszczędzania nazwy *definicja*. Każdego, kto choć trochę jest przyzwyczajony do ścisłości językowej w prawdziwy kłopot wprowadzają np. tego rodzaju terminy: „definicja określająca istotę rzeczy” lub „definicja realna wyraźna”. W takich wypadkach (a przecież chodzi tu o nazwy związane z naczelnym pojęciem definicji), po prostu odczuwa się potrzebę hamowania myśli<sup>9</sup>. Specjalistę (i każdego odbiorcę źle sformułowanej nazwy) zaskakuje powiadomienie o konieczności łączenia tu przymiotnika *wyraźna* z pojęciem *definicja*. Jakże może istnieć definicja niewyraźna lub definicja nie podająca istoty rzeczy?

Po cóż wprowadzać do słownictwa i leksykografii specjalnej tak dziwne nazwy i odpowiadające im pojęcia? Nie rozumiemy też, na jakich ogólnych prawach naukowych może opierać się tego rodzaju system pojęciowo-terminologiczny. Trudno więc zgodzić się w tej mierze z poglądami reprezentowanymi przez poważne źródła. „Niekiedy — czytamy np. w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej PWN<sup>10</sup> — wymaga się, aby czyniła ona (definicja — przyp. mój) zadość celom diagnostycznym, tzn. by podawała charakterystykę nie tylko jednoznaczną, ale i istotną dla definiowanego przedmiotu, tj. charakterystykę tak dobraną, aby można było z niej na gruncie pewnej przyjętej teorii wyprowadzić inne (możliwie wszystkie) własności tego przedmiotu ważne z punktu widzenia danej nauki”. Naszym zdaniem założenia teoretyczne, które jedynie dopuszczają to, aby definicja podawała istotę rzeczy, są absolutnie nie do przyjęcia w tych dziedzinach, w których ścisłość pojęciowo-językowa jest niezbędna.

W słownictwie i leksykografii specjalnej sprawą podstawową jest pouczenie specjalisty, aby on wiedział, kiedy dane stwierdzenie rzeczywiście jest definicją, a kiedy nią nie jest. W tym miejscu warto jeszcze wró-

<sup>9</sup> Używam określenia „hamowanie myśli” (gdy nazwa jest sprzeczna ze swym przeznaczeniem) za prof. W. Doroszewskim, użytym przez niego w referacie na organizacyjnym posiedzeniu Towarzystwa Kultury Języka w Warszawie w dniu 25 XII 1966 r.

<sup>10</sup> W haśle *definicja*, s. 847.

cić do analizy pojęcia *militaryzm* i wykazać, jak ważną jest orientacja co do charakteru danego stwierdzenia i czy odpowiada ono kryterium definicji. Zdaniem polskich wojskowych socjologów marksistowskich, *militaryzmem* jest tylko taka działalność i system władzy, oraz towarzysząca im ideologia, w których panuje zasada dominacji sił zbrojnych i zwykle dążenie bądź prowadzenie wojen zaborczych.

Zaskakujące, w jakim stopniu tego rodzaju pojęcie *militaryzmu* jest zgodne z wymogami klasycznej definicji opracowanymi jeszcze przez Arystotelesa, według których wyróżnia się pojęcie przez podanie rodzaju nadrzędnego (tu działalność, system władzy i ideologia) oraz różnicy gatunkowej (dominacja sił zbrojnych i zwykle dążenie lub prowadzenie wojen zaborczych). Definicja klasyczna dążąca do ujmowania istoty rzeczy zgodnie z wyżej przedstawionym schematem informowania ma pewną neutralność emocjonalną i tym samym może pozytywnie spełniać swą funkcję praktyczną (społeczno-polityczną). Wydaje się, że definicja *militaryzmu* opracowana w myśl takich założeń jest do przyjęcia przez każdego autora dążącego do obiektywnego, formułowania pojęcia.

Przyjęcie definicji danego pojęcia w niczym nie ogranicza możliwości określania rzeczy i zjawisk według innych rodzajów stwierdzeń. Co do pojęcia *militaryzmu*, to wiadomo, że bardzo często wcale nie chodzi o jego definicję, lecz napiętnowanie go z czysto ludzkich względów. Wszelka uzasadniona nawet reakcja emocjonalna nie może jednak doprowadzić do zagubienia niejako językowej samoświadomości określania. Autor danej wypowiedzi powinien wiedzieć, kiedy określa coś na zasadzie własnego (lub danej grupy społecznej) stwierdzenia, a kiedy to coś określa w formie definicji.

Wydaje się też, że niezależnie od różnych poglądów i rozbieżności interesów, ludzie nie mogą zrezygnować z budowy gmachu pojęć zgodnie z zasadami czysto rozumowymi. W stosunku do nauki chodzi głównie o to, aby — z jednej strony — swą „nadprodukcją definicji” nie wpychała przysłowiowego kija w mrowisko, a z drugiej — aby więcej uwagi poświęciła problemowi świadomości językowej w sztuce określania.

Zygmunt Saloni

## BŁĘDY UCZNIOWSKIE W ZAKRESIE KONSTRUKCJI DŁUŻSZYCH ODCINKÓW TEKSTU

(dalszy ciąg)

### 3. CZŁONY PODRZĘDNE WYODRĘBNIONE FORMALNIE Z WYPOWIEDZEŃ

Z używaniem na prawach wypowiedzeń tworów językowych, których wartość funkcjonalna w dłuższym tekście nie pokrywa się z wartością wypowiedzenia wiąże się następny problem, ilustrowany bardzo dużą liczbą przykładów: niewłaściwe rozczłonkowanie tekstu na jednostki zdaniowe. Jest to typowy problem języka pisanego, wiążący się ściśle z interpunkcją, jednak nie ograniczający się chyba do niej. Błędy bowiem w zamykaniu wypowiedzenia i rozpoczynaniu nowego prowadzą do fałszywego wyodrębniania zasadniczych jednostek tekstu, a jako takie naruszają jego strukturę, nie ograniczając się bynajmniej do kwestii czysto formalnych, tak jak błędy ortograficzne.

Częstą manierą stylistyczną, i to bynajmniej nie występującą u uczniów mających trudności z wypowiedzeniem się, jest wyodrębnianie jako samodzielnej jednostki — członu wypowiedzenia, najczęściej przy tym takiego, który ma być specjalnie mocno zaakcentowany<sup>9</sup>, np.:

Moskwa. Jak każda stolica była łakomym kąskiem dla nacierającego wojska. To również jest jego wielki sukces. Sukces, który odniósł. Jednym słowem, żyję wśród ludzi stanowiących oazę dawnej inteligencji. Oazę wśród pustyni półinteligentów z awansu, uznających się za inteligencję.

Nie można bynajmniej zarzucić autorom tych zdań, że kropka wprowadzona jest przypadkowo. Raczej mamy do czynienia z pewnym zabiegiem stylistycznym. W języku mówionym wyodrębniony człon zdania stanowiłby niewątpliwie — skutkiem bardzo mocnego zaakcentowania logicznego — samodzielną jednostkę intonacyjną, czyli na dobrą sprawę, samodzielne wypowiedzenie. Inaczej rzecz ma się w języku pisany. Tu związek formalny z całością zdania musi być utrzymany, tym bardziej że są inne sposoby interpunkcyjnego zaznaczania, że mamy do czynienia z członem wyodrębnionym intonacyjnie: myślnik, wielokropek, wykrzyknik.

<sup>9</sup> Problemy poruszone w niniejszej części omawiałem już pod innym kątem w artykule „Nauczanie interpunkcji w szkole średniej” (PJ 1966 z. 7).

W każdym razie omówione wypadki zaliczyć wypada raczej do drobniejszych usterek, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę, że podobną interpunkcję znaleźć można w tekstach drukowanych, przede wszystkim dziennikarskich. Można nawet podawać w wątpliwość, czy omawiane zjawisko w ogóle traktować jako błąd, i uważać, że kształtuje się obecnie nowa norma użycia kropki<sup>10</sup>.

Bardzo znamienne jest przy tym powtórzenie w niektórych wypadkach wyrazu akcentowanego — jest to niewątpliwie sytuacja, która sprzyja powstaniu błędu w wyodrębnieniu samodzielnych jednostek zdaniowych. Inną sytuacją sprzyjającą podobnym błędom jest użycie rozbudowanego wyjaśnienia określającego na zasadzie któregoś ze związków podrzędnych człon zdania, np.:

Twórczość Żeromskiego przypada na koniec XIX i początek XX wieku.

Okres, w którym zaszło dużo wypadków historycznych, mających znaczenie dla dziejów świata i ojczyzny autora.

Możemy to wywnioskować z czasu podróży wojsk greckich do Troi.

Przy sprzyjających warunkach około 2 tygodnie.

Szczególna i bardzo charakterystyczna odmiana omawianej sytuacji po-

<sup>10</sup> Jako jeden z przykładów dwu wypowiedzi zewnętrznie nawiązanych Klemensiewicz w „Zarysie składni polskiej” (s. 117) podaje za Zegadłowiczem: *W uśmiechu bogini zamyka się wyraz uwielbienia. Dla miłości szczęśliwej*. Wydaje się jednak, że ten typ rozczłonkowania tekstu na wypowiedzenia można usprawiedliwić tylko w wypadku wyraźnej funkcji stylistycznej.

Ciekawe przykłady analogicznego podziału tekstu na wypowiedzenia przytacza Józef Mayen (Monolog i dialog radiowy. „Dialog” 1958 z. 3 s. 137—138), np.:

Obraz nie nastęrcza żadnych przyczyn do odczuwania złudzeń optycznych. Obraz jak tysiące innych.

To, co jest tęsknotą każdego uczciwie myślącego człowieka — pokojowa przyszłość świata — jest zarazem nurtem, kierunkiem polityki Związku Radzieckiego. I ogromną siłą.

Istnieje jednak dokument jeszcze straszliwszy. Więzienny list, zaadresowany do wszystkich ludzi na całym świecie. List pisany z greckiego więzienia przez Greków, których skazała na śmierć policja grecka. Za patriotyzm. (Wszystkie przykłady ze zbioru felietonów radiowych W. Odolskiej)

Charakterystyczne, że takie rozczłonkowanie tekstu występuje właśnie w felietonach radiowych, gdzie zapis odbija autentyczną intonację realizacji radiowej, niewątpliwie ekspresywną, celowo podkreślającą pewne człony zdania (Mayen stwierdza, że Odolska nadużywa tego środka ekspresji). Słuszne jest chyba powiązanie takich struktur ze stylami pogranicznymi między językiem pisanym a mówionym, które Mayen za Winogradowem nazywa językiem pisemno-ustnym.

Analogiczne zjawisko zachodzi na pewno również w języku rosyjskim. N. Ju. Svedowa w rozdziale „O proniknovenii razgovornych form predłożenija v pišmennuju reč” swej książki „Aktivnye processy v sovremennom russkom sintaksise” (Moskwa 1966) jako jedno ze zjawisk typowych omawia wynoszenie syntagmy logicznie akcentowanej na koniec zdania, przy czym najbardziej wyraziste jest oddzielanie jej kropką.



wstaje wtedy, gdy określenie dodatkowe jest poprzedzone specjalnym wyrażeniem wprowadzającym<sup>11</sup>, np.:

Są one bardzo urozmaicone. Zwłaszcza audycje popularno-naukowe jak „Eureka”.

W książkach szukam tego, co duża część ludzi ma poza nimi. A więc pracy, nauki, rozrywki, głębszych przeżyć.

Autor „Monachomachii” wyśmiewa się również z wad mnichów, zupełnie nie pasujących do ich stanu. Np. obżarstwa, pijaństwa czy głupoty.

Podobne zjawisko da się również zaobserwować i w zdaniach złożonych. Nie jest ono jednak typowe dla zdania współrzędnie złożonego, którego człony są przecież znacznie bardziej samodzielne niż w zdaniu złożonym podrzędnie. Prawie takie samo jak zacytowane wyżej przykłady wyodrębniania w zdaniu pojedynczym określenia wprowadzonego przy pomocy specjalnego środka leksykalnego jest usamodzielnienie zdań włączonych, np.:

Wyobrażali sobie bogów pod postaciami zwierząt. Np. w ich mniemaniu Dionizos był bykiem, a wszyscy bogowie ziemscy występowali jako węże.

Jednak w tym wypadku trudno nawet mówić o usterce. Tylko zastosowanie skrótu na początku drugiego zdania wiąże je ściśle z pierwszym; gdyby został on rozwiązany, rozbicie na dwa samodzielne zdania byłoby w pełni umotywowane.

Drobne niezręczności znaleźć możemy i w zdaniach przeciwstawnych, np.:

Chłopi nie byli członkami partii ani żołnierzami. Jednak poczuli się do takich samych obowiązków, jakie ciążyły na członkach partii i GL-owcach.

Elementem spajającym drugie zdanie z pierwszym jest tu przede wszystkim inicjalna pozycja *jednak*; ale gdyby ten spójnik umieścić na drugim miejscu, zastosowana interpunkcja byłaby poprawna.

Jedynym chyba niewątpliwym błędem, jeśli idzie o rozbijanie kropką zdania współrzędnie złożonego, jest wyodrębnienie jako samodzielnego wypowiedzenia drugiego z dwóch wypowiedzeń współrzędnych, eliptycznego i zbudowanego paralelnie do pierwszego zdania współrzędne-  
go, np.:

<sup>11</sup> Konstrukcje te zbliżają się do typu analizowanego na materiale rosyjskim i angielskim przez V. F. Milka w artykule „Prisoedinenie — vid sintaksičeskoj svja-zi” (Vestnik Leningradskogo Universiteta. Serija istorii, jazyka i literatury. 1966 z. 4), w którym autor stwierdza, że tradycyjnie w obu językach między członami „prisoedinenija” (typ ten zbliża się w znacznym stopniu do nawiązania zewnętrznego lub wewnętrznego) może stać dowolny znak przestankowy. Interesujące byłoby porównanie polskiego zwyczaju użycia kropki wewnątrz jednostki syntaktycznej ze zwyczajami panującymi w tej mierze w innych językach naszego kręgu kulturalnego.

Czy władzę w niej mają objąć ludzie, którzy użyją jej jako źródła własnych, szybkich korzyści. Czy też ludzie, których chlebem powszednim są zbrodnie.

Znacznie częstsze jest usamodzielnianie zdania podrzędnego, wyraźnie podporządkowanego formalnie elementowi tekstu nie należącemu do niego<sup>12</sup>. Zacząć można od bardzo charakterystycznego przykładu, gdy jako zdanie samodzielne potraktowane jest jedno z dwóch jednorodnych zdań podrzędnych, np.:

Pokazywał jednocześnie, że ta droga do niczego nie doprowadzi. Ze o wiele słuszniejsza jest ta droga zupełnie przeciwna.

Analogia do zacytowanego wyżej przykładu usamodzielniania paralelnie zbudowanych zdań współrzędnych jest zupełnie oczywista.

Spośród różnych rodzajów zdań podrzędnych najczęściej wyodrębniane bywa zdanie przyzwalające, np.:

Jestem przekonana, że po ukończeniu szkoły i jej opuszczeniu będę ją wspominać mile, a nawet z pewnym wzruszeniem, do czego oczywiście nikomu się nie przyznam. Mimo tego, że na samiutkim dnie serca będzie leżał mały żal do niektórych nauczycieli.

Ani pierwszy, ani drugi zacytowany wyżej błąd, polegający na wyodrębnieniu zdania podrzędnego, nie są jednak specjalnie rażące. Podanym zapisom mogą z powodzeniem odpowiadać realizacje dźwiękowe, w których wyodrębniony człon rzeczywiście stanowi odrębną całość intonacyjną<sup>13</sup>. Naruszenie zależności formalnej jest mimo to bardzo wy-

<sup>12</sup> Zjawisko takie zauważył i zanalizował Stanisław Jodłowski (O nowej modzie literackiej w interpunkcji. JP XVII (1932) z. 1 s. 11—18). Jak wynika z jego artykułu, przed laty z górami trzydziestu oddzielanie kropką zdania podrzędnego od nadrzędnego było zjawiskiem nowym i występującym przede wszystkim w literaturze pięknej, podczas gdy dziś jest częstsze i chyba znacznie bardziej charakterystyczne w stylu publicystycznym (dysponuję pokaźną liczbą przykładów naruszenia granicy zdania, zaczerpniętych z prasy). Jodłowski przewidywał, że najwcześniej usamodzielniają się zdania przyczynowe, przede wszystkim rozpoczynające się od *bowiem* i *bo*. I rzeczywiście, spójnik *bowiem* jest dziś używany chyba częściej jako międzyzdaniowy, tak że traktowania zdań zawierających go jako zdań samodzielnych nie liczyłem nawet za błąd. Nic natomiast Jodłowski nie wspomina o usamodzielnianiu rozbudowanych członów zdania pojedynczego, które jest dziś zjawiskiem równie częstym — może moda na nie pojawiła się później.

Na marginesie warto również odnotować, że kilka wyraźnie błędnych wypadków stawiania kropki między zdaniem nadrzędnym a zdaniem podrzędnym, które nie mogą być oddzielone intonacyjnie, zanotował przed dziesięciu laty Jan Pilich (Typowe błędy uczniów w pracach pisemnych. PJ 1957 z. 1 s. 31).

<sup>13</sup> Co ciekawe, bardzo podobne wypadki rozbicia zdania złożonego kropką znaleźć możemy, jak pokazuje St. Furmanik (O interpunkcji w drukach staropolskich. „Pamiętnik Literacki” 1955 z. 4 s. 426—468), w tekstach staropolskich. Dzieje się tak dlatego, że system interpunkcji szesnastowiecznej „uwzględnia w zasadzie tylko działy intonacyjne i o tyle działy syntaktyczno-logiczne, o ile pokrywają się one z działami intonacyjnymi” (s. 431).

Wypadki usamodzielnienia zdania ze spójnikiem podrzędnym można też znaleźć

rażne. Widać tu zresztą tendencję stylu dziennikarskiego: niechęć do budowy dłuższych okresów i dążność do rozbijania tekstu na jednostki krótkie. Niewątpliwe powiązanie stylu z intonacją języka mówionego nadaje mu żywość i barwę.

Jednak w wypracowaniach znajdziemy też wyodrębnione zdania podrzędne, które intonacyjnie nie mogą być oddzielone od nadrzędnych, np.:

Ślubował rzeczy trudne do wykonania. Przy których musiał narażać życie.

Mógł zmienić swe zdanie wcześniej. Co niewątpliwie uratowałoby życie następnych jego ofiar.

Myszę, że takie pytanie może zadać tylko ośmioletnie dziecko. Gdy zdrowo myślący człowiek nie może tego powiedzieć.

Dążyli do zbliżenia z ciężko pracującymi masami. Aby wszyscy razem zlikwidowali nędzę i stanęli potem do walki o niepodległość kraju.

Te błędy są już wynikiem trudności w opanowaniu językiem, słabej umiejętności wypowiadania się na piśmie, przede wszystkim zaś niedostrzegania związków między elementami tekstu. Ale i w tym, i w poprzednim wypadku świadczą one o niepoprawnej analizie logicznej tekstu i nieprawidłowym rozczłonkowaniu go. To, że problem ten może sprawiać uczniowi trudności, nie ulega kwestii, natomiast zastanawia, jak mało zwraca się na niego uwagę w szkole<sup>14</sup>.

Warto zwrócić uwagę na to, że niekiedy błąd w zakresie wyodrębniania jednostek zdaniowych jest bezpośrednią konsekwencją niepotrzebnej komplikacji formalnej zdania, które staje się dla samego autora jednostką trudną do analizy, np.:

A więc mimo, że wielu ludzi twierdzi, że telewizor to złodziej czasu, ja jednak potrafię się powstrzymać w oglądaniu programu w wypadku, gdy czekają na mnie jakieś ważne obowiązki. Co nie można powiedzieć w stosunku do lat ubiegłych. Gdyż wtedy oglądałam wszystkie punkty programu nie zważając, czy mnie to interesuje, czy też nie.

Nie ulega wątpliwości, że uczeń o nie najlepszym wyrobieniu językowym zagubił się w zawilej konstrukcji zdaniowej, którą stworzył, wzorując się na języku abstrakcyjnym i skomplikowanym.

w piśmiennictwie rosyjskim, i to w literaturze pięknej (Sałtykov-Szczedrin, Fadiejew, A. Tołstoj). Przykłady przytacza I. A. Figurovskij w książce „Sintaksis celogo teksta i učeńičeskie piśmennyje raboty” (Moskwa 1961), s. 21 i nn.

<sup>14</sup> Dobrze ilustruje to następujące stwierdzenie Jana Tokarskiego: „Gorzej jest z podziałem większej wypowiedzi ustnej na zdania. Tu trudności sięgają niekiedy nawet starszych klas licealnych; Błędy w tym zakresie spotkać można nawet w wypracowaniach maturalnych. Podczas gdy wypowiedzi pisemne na szczeblu najniższym nie wykraczają poza zdanie, należyte operowanie kropką w starszych klasach, przy wypowiedziach pisemnych dłuższych nabiera charakteru stylistycznego, o którym w pracach metodycznych na ogół głucho”. (J. Tokarski: Gramatyka w szkole. Warszawa 1966; s. 77)

#### 4. POTOK SKŁADNIOWY

W wypracowaniach spotykamy się też z tendencją przeciwną do omówionego rozczłonkowania tekstu na jednostki zbyt drobne: łączeniem bez dostatecznej motywacji samodzielnych jednostek nie mających żadnych znamion podporządkowania formalnego czy też nawiązania — w jednostki dłuższe, nie rozczłonkowane formalnie, z członami oddzielnymi przecinkami, niekiedy nawet — nie, np.:

Kolonie tylko do lat czternastu (znowu niestety), rodzice powiedzieli, że w tym roku organizuje sobie sam.

No, ale opuśćmy już lekką atletykę i przejdźmy do innych konkurencji koszykarze mają realne szanse na medal albo punktowane miejsce.

Błędy tego typu wcale nie są rzadkie, ale trafiają się tylko u uczniów słabszych, przede wszystkim w niższych klasach. W postaci skrajnej występują jako potok składniowy, bez formalnych znaków pisarskich rozczłonkowania na jednostki wypowiedzeniowe, np.:

Znać języki to było dostępne tylko dla ludzi bogatych, którym wolno było się uczyć mieli oni wstęp na wyższe uczelnie, on był biedny, mógł tylko chodzić po górach uczyć się pieśni swego kraju od ojca (...)

Geneza tych poważnych błędów jest zupełnie oczywista. Po prostu uczeń, nie wyczuwając różnic składniowych między językiem pisanym a mówionym, pisze tak, jak mówi. Zdarza się to jednak stosunkowo rzadko, bo potok składniowy z licznymi połączeniami luźnymi i nawiązaniem cechuje przede wszystkim język ludzi o niższym stopniu inteligencji i słabszym wyrobieniu językowym. Zresztą uczeń inteligentny różnicę między składnią języka pisanego a składnią języka mówionego intuicyjnie wyczuwa i na ogół wyciąga z niej wnioski praktyczne (z wyjątkiem może wypadków pogranicznych i trudniejszych, do których należą też zjawiska omówione wyżej<sup>15</sup>).

#### 5. ANAKOLUTY, ZDANIA URWANE

Równie wyraźny jest związek z językiem potocznym wykolejeń struktury zdania, nie związanych już z interpunkcją, a dających w wyniku anakoluty. Powstają one wtedy, kiedy piszący traci wątek, zapomina o napisanej części zdania i nie dopasowuje końca do początku. Koniec zdania przestaje wówczas mieć logiczny lub formalny (a czasami i logiczny i formalny) związek z początkiem. Wykolejone w ten sposób mogą być różne typy zdań (typ nie jest w tym wypadku oczywiście istotny), np.:

Nasza klasa, uczniowie, jeżeli rozmawiam oddzielnie z jakąś osobą z naszej klasy, to rozmowa jest miła, przyjemna.

<sup>15</sup> Potok składniowy i omawiane dalej anakoluty i powtórzenia uznane są za typowe zjawisko języka potocznego przez „Stylistykę polską” H. Kurkowskiej i St. Skorupki (Warszawa 1959; s. 240 inn., 224—228).

Kasprowicz jakby się tłumaczy, dlaczego słowo to, tak często wtedy używane, tak rzadko pojawia się ten wyraz.

Iwaszkiewicz w swej powieści „Sława i chwała” poświęca problemowi wojen prawie całą powieść.

Na marginesie warto zauważyć, że w dwóch ostatnich zdaniach anakolut powstał skutkiem wystąpienia w tekście innego typowego elementu stylu mówionego: zbędnych powtórzeń wyrazowych i myślowych (w pierwszym wypadku równolegle użyte są dokładne synonimy, zróżnicowane tylko stylistycznie: *słowo* i *wyraz*).

Jeszcze bardziej charakterystyczne są wykolejenia zdań dłuższych jako całości, przede wszystkim zdań wielokrotnie złożonych, gdy szwankuje połączenie zdań składowych lub gubi się związek między nimi, np.:

Stara się dać odpowiedź na pytanie: mianowicie (moja interpretacja tytułu!) mam na myśli, że kiedyś tacy ludzie jak Baryka przebudzą się z tego odrętwienia zimowego.

I dlatego moi rodzice dla człowieka, który ich nie zna, a przyjdzie niespodziewanie do nas, rodzice moi przedstawiają się jako ludzie siedzący za biurkiem i piszący lub czytający medyczne książki.

Mechanizm tych błędów jest jasny. Po prostu piszący gubi się we własnej konstrukcji, a tekstu napisanego nie poprawia, co powinien zrobić. I to także zbliża tekst napisany do mówionego, mającego charakter spontaniczny i nie nadającego się do wprowadzenia poprawki. Warto może podać zanotowany przykład powstania błędu tego rodzaju. Uczeń pisał mianowicie zdanie:

Tylko czasem czytelnik zafascynowany pięknem języka Sienkiewicza będzie sam sobie wmawiał, że sąd ten jest fałszywy i krzywdzący autora, jednak w głębi będzie

W tym miejscu przerwał, skreślił wyrazy po drugim przecinku i skończył następująco:

a „Trylogię” za ideał powieści, nie mających żadnych ujemnych stron, jednak w głębi będzie czuł stronnictwo swych opinii.

W ten sposób cyzelując swą myśl, zapomniał, co już napisał, a ściślej, który fragment tekstu napisanego przeznaczył do ostatecznej redakcji. Dlatego stracił wyczucie, do jakich wyrazów ma dopasować dalszy ciąg wypowiedzenia.

Podobny mechanizm mają również wykolejenia zdań wielokrotnie złożonych, polegające na zestawieniu na jednej płaszczyźnie jako podrzędnych wobec tego samego członu zdania zdań niejednorodnych, np.:

Rodzice chłopów nauczyli swoje dzieci tylko tego, jak orać, siać, co trzeba dawać kurom, co bydłu do jedzenia, oraz że najwyższą władzą jest pan.

Nieraz małe dzieci ostrzegały ludzi z różnych organizacji o tym, że Niemcy są w domu i żeby tam nie wchodzić.

W grę wchodzi tu jednak, prócz zagubienia konstrukcji, jeszcze jedna ewentualność. Mianowicie uczeń słabiej wyrobiony językowo może nie wyczuwać, że współrzędne zestawianie zdań niejednorodnych jest niepoprawne. Z niewątpliwymi anakolutami mamy natomiast do czynienia wtedy, gdy drugie ze zdań podrzędnych potraktowanych równolegle, nie pasuje w ogóle do nadrzędnego, np.:

Może jestem nieco nieśmiały, ale to zależy od sytuacji, w jakiej się znajduję, i kiedy boję się, by śmiałość nie graniczyła z bezczelnością.

Wykolejenie podobne do cytowanych może być także, ale stosunkowo rzadko, wynikiem opuszczenia zdania składowego, np.:

Prosił mnie, żebym nie był taki skromny, i że każdy wie, że mogę sobie pozwolić na Bułgarię czy Rumunię.

Zdanie składowe *że każdy wie* jest podporządkowane zdaniu *prosił mnie* skutkiem opuszczenia członu *powiedział* itp.

Złożone współrzędnie może być również pełne zdanie podrzędne z imiesłowowym równoważnikiem zdania podrzędnego, np.:

Kiedy czytam coś bardzo interesującego i chcąc wiedzieć jak się skończy, zaglądam na koniec.

Znacznie częściej zdarza się jednak, że uczeń wiąże na zasadzie współrzędności zdanie podrzędne i odpowiadający mu człon zdania pojedynczego, najczęściej zdanie dopełnieniowe i dopełnienie, np.:

W tej nowelce Żeromski pokazuje przyczyny upadku powstania styczniowego i kto ponosi za to winę.

Nie będę wymieniała tytułów satyr, ale tylko jakie wady krytykuje Krasicki.

Zestawienia takie trafiają się sporadycznie w funkcji przydawki, np.:

Może być to również pytanie na temat życia, jak ono przemija, z czym się mogę w życiu spotkać.

W dalszej konsekwencji człon zdania i odpowiadające mu zdanie podrzędne, pełniące taką samą funkcję w wypowiedzeniu nadrzędnym, mogą być połączone spójnikiem współrzędnym, np.:

Nie mogą podobać się zwyczajnie artyście grającego pozytywnego bohatera, a który wychodzi na scenę pijany.

Na to pytanie odpowiedź mam krótką, ale którą podaję bez wahania.

Po usunięciu spójnika współrzędnego oba zdania byłyby poprawne, bo wtedy nadal określałyby ten sam wyraz, lecz nie byłyby potraktowane równorzędnie.

Do niedostatków naruszających także w pewnym sensie granicę i konstrukcję zdania należy operowanie bez potrzeby zdaniami zbyt skomplikowanymi, ale zbudowanymi poprawnie, z zachowaniem wszystkich powiązań prawidłowych, np.:

Prokris podpatruje go, czy rzeczywiście tylko poluje, a gdy się przekonuje, że Kefalos nie kłamie, wtedy chce wyjść z krzaków, ale jej mąż myśląc, że to jakiś zwierz, rzuca dzidą, zabijając niewierną żonę. (Błędne

skutkowe użycie imiesłowowego równoważnika zdania nie narusza w gruncie rzeczy powiązania).

Taka jest nasza ludzka natura, że przywiązujemy się do miejsc, w których dość długo mieszkamy, do codziennych obowiązków, a takim właśnie i codziennym obowiązkiem są lekcje i chociaż cieszymy się, gdy któraś z lekcji nie może się odbyć, jednak właśnie ta monotonna sprawa to, że dość trudno będzie nam odzwyczaić się od codziennego rannego wstawania, odrabiania lekcji i tym podobnych uczniowskich obowiązków.

W innych wypadkach zbędne jest nagromadzenie wskaźników zespolenia i nawiązania, np.:

„Kordian” pokazuje w zasadzie, jak nie należy postępować, iż mimo, że czyn zamierzony jest dla pewno godny największego poświęcenia, to by go urzeczywistnić nie wystarczą dobre chęci, gdy bohater ma słaby charakter (...)

Są to typowe konstrukcje pisane, można nawet powiedzieć — hiperpisane, bo rażące także w języku pisany. Ich autorzy zdawali sobie sprawę, że język pisany odróżnia od mówionego większa komplikacja składniowa, ale stosując się do wymogów stylów pisanych przesadzili w złożoności, przez co zdania stały się ciężkie i mało komunikatywne

Stosunkowo rzadko spotykane w wypracowaniach zdania urwane też dadzą się wytłumaczyć wpływem języka mówionego, bo z natury rzeczy są charakterystyczne właśnie dla niego, podczas gdy w języku pisany stanowią albo środek stylizacji, albo wyraźne wykolejenie. Oto typowe przykłady:

Kordian to jakby Gustaw, tylko bardziej realnie patrzący na świat, ale tylko czasami i na niektóre.

Mamy tu do czynienia z wyraźnym wykolejeniem, gdyż opuszczony został rzeczownik konotowany obligatoryjnie przez przymiotnik. Uczeń zapomniał po prostu, co już napisał; wydawało mu się, że poprzedni odcinek tekstu zawiera rzeczownik, który można łączyć z zajmującym końcową pozycję przymiotnikiem.

Urwanie dobrze widać niekiedy, gdy brak jest członu wyraźnie zapowiedzianego, np.:

Poeci dwudziestolecia międzywojennego w wierszach swoich wyrażali protest przeciwko wojnie i czasom, w których nierówność klasowa zmuszała jednych do ciężkiego, pełnego znużenia pracy życia.

Do najważniejszych organizacji bojowych w okresie okupacji należały: Armia Ludowa.

## 6. PODMIOT DOMYŚLNY

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na dwa drobniejsze problemy ściśle związane ze składnią międzyzdaniową. Błędy te są wyrazem trudności w organizacji dłuższego tekstu, a ściślej mówiąc w nawiązywaniu.

Istnieją mianowicie w języku polskim najzupełniej poprawne zdania z podmiotem domyślnym, jednak ich użycie jest umotywowane tylko wówczas, gdy jest całkiem jasne, do czego może się odnosić orzeczenie — gdy kontekst wskazuje jednoznacznie, który wyraz wiąże się z orzeczeniem zdania zawierającego podmiot domyślny, lub gdy sama forma orzeczenia (np. pierwsza lub druga osoba) wystarcza, by stwierdzić, jaki wyraz jest opuszczonym podmiotem. Za zdania z zagubionym podmiotem należy uznać takie, które żadnego z tych dwóch warunków nie spełniają. Wybrane przykłady z badanych wypracowań zacytuję w kontekście — ze zdaniem poprzedzającym:

Ta niezwykła kariera pieniądza uwarunkowana zaistniałym systemem społecznym nie mogła oczywiście pozostać bez wpływu na międzyludzkie stosunki. Wywróciwszy do góry nogami wszystkie prawie idee, cele i wartości, zajął naczelne miejsce w pragnieniach, chęciach i dążeniach człowieka.

Żrebak był przedmiotem dumy małego chłopca. Pewnego razu zaprosił kolegów i pokazał im swojego konia.

Podmiot nie jest w tych zdaniach wskazany przez kontekst jednoznacznie, w wyniku czego drugi cytat wywołuje nawet efekt komiczny.

Podobny mechanizm błędu działa również w obrębie zdania złożonego, np.:

Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby go ojciec zobaczył, na pewno poniósłby jakąś karę.

Szczególnie rażące są takie wykolejenia w obrębie dwuczłonowego zdania złożonego współrzędnie. Powstają one wtedy, gdy drugie ze zdań współrzędnych ma opuszczony podmiot, pierwsze zaś ma podmiot wyrazowy niezgodny z podmiotem domyślnym drugiego, np.:

Wywiera ta przepowiednia na nim silne wrażenie i postanawia naprawić swój błąd.

Dodatkowym czynnikiem odbijającym się negatywnie na poprawności zdania, lecz w gruncie rzeczy uniemożliwiającym błędną interpretację jest zastosowanie w obu zdaniach orzeczeń w różnych formach, wykluczających zgodę z tym samym rzeczownikiem, np.:

Łapanki w Warszawie lub innych większych miastach najczęściej miały miejsce na dworcach albo na ważniejszych ulicach lub jeszcze opróżniali tramwaje.

Nie dowiadujemy się z nich bezpośrednio o danych osobach, lecz wytykają ich wady.

Oczywiście bardzo podobnie przedstawia się sprawa błędów w użyciu zaimków, która nie jest już jednak zagadnieniem ściśle składniowym, lecz przede wszystkim leksykalnym. Jest to bardzo znamieny przykład powiązania zagadnień składniowych i leksykalnych.



## 7. GLOSSY NAWIASOWE

Związany z tą samą kwestią jest jeszcze jeden ciekawy przykład wykolejenia językowo-stylistycznego, powodującego zresztą także nieprawidłowe użycie nawiasu: wprowadzenie na zasadzie uwagi nawiasowej rodzaju wyjaśnienia czy glossy odnoszącej się do zaimka (lub rzadziej podmiotu domyślnego). Zaimek ten, rzecz jasna, powinien z natury swojej być tak wprowadzony do tekstu, by nie powstawała wątpliwość, do czego się odnosi, i nie zachodziła w ogóle potrzeba dodatkowych wyjaśnień. Oto wyraziste przykłady podobnych niezręczności:

Przez pracę można było stworzyć w kraju własny przemysł i podźwignąć go (kraj) z dna upadku kulturalnego.

Po stwierdzeniu pisarza X., że stron wystarczy na duży tom, zabiera się on (pisarz X.) do wygładzenia stylu.

Uwagi takie, które zresztą można czasami spotkać i w tekstach prasowych, świadczą niewątpliwie o niedomaganiach stylu. Stanowią one wykolejenie konstrukcji zdania, bo przecież użycie zaimka wraz z rozwiązaniem jego substytucji w nawiasie jest sprzeczne z samym charakterem zaimka zastępującego wyraz pełnoznaczny. Mimo to są stosunkowo mało rażące, pokazują bowiem, że piszący zdaje sobie sprawę z błędu, stara się go usunąć i rzeczywiście usuwa niejasność treściową. Pozostaje tylko nieprecyzyjność formalna.

Podobne wykolejenie spotyka się też w dłuższych odcinakach tekstu, gdy zaimki (lub podmiot domyślny) są substytutami wyrazu ze zdania poprzedniego lub jeszcze dalszego, np.:

Czego szukam w książkach? Dlaczego je czytam? Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Są (książki) moimi nieodłącznymi przyjaciółmi.

Z opowiadań mamy dowiedziałam się, że już jako kilkunastomiesięczne dziecko interesowałam się książkami. Oczywiście zainteresowanie to przejawiało się inaczej niż obecnie. Na czym polegało to zainteresowanie wtedy (u kilkunastomiesięcznego dziecka)?

Użycie podobnej glossy nie ogranicza się jednak do wypadków takich dwuznaczności czy niejasności, gdyż może być ona również wprowadzona w wypadkach wyraźnie błędnego użycia zaimka, który absolutnie nie może być interpretowany zgodnie z intencją autora sformułowania, np.:

Spróbujmy się postawić w takiej sytuacji. Brr. Aż ciarki przechodzą. To okropne, choć prawie mimowolne okrucieństwo Gerwazego. Drugi raz ratuje mu życie (tzn. Hrabiemu) dostając przeznaczoną dla niego kulkę.

Takie uwagi nawiasowe wprowadzone być mogą w celu wyjaśnienia nie tylko zaimków czy podmiotu domyślnego, lecz także innych wyrazów czy nawet całych związków frazeologicznych użytych dla oznaczenia desygnatu, który poprzednio w tekście nazwany był inaczej, np.:

Należy zwrócić uwagę na przemiany dokonujące się w naszym bohaterze (mam na myśli Cezarego Barykę).

Robili to bardzo zgrabnie (pomagali partyzantom), aby Niemcy nie wysłedzili ich.

### WNIOSKI

Wszystkie zagadnienia poruszone w niniejszym artykule, z natury swej składniowe, wykraczają wyraźnie poza granice zdania, nawet złożonego. Najbardziej charakterystyczne są pod tym względem błędy polegające na naruszeniu składni nawiązania zewnętrznego. Widać je dobrze w dwóch ostatnich fragmentach, poświęconych podmiotowi domyślnemu oraz „glossom” rozwiązującym zaimki. Oczywiście można wskazać przykłady, w których błędy obu omawianych rodzajów występują w obrębie zdania złożonego — jednak ogólnie rzecz biorąc, są one znacznie bardziej charakterystyczne dla ciągu kilku kolejnych wypowiedzeń niż jednego wypowiedzenia złożonego. Pewien związek z nawiązaniem mają niektóre błędy polegające na przesunięciu granicy zdania, ale nie we wszystkich wypadkach można tu mówić o nawiązaniu w sensie gramatycznym (np. w wypadku członów zaczynających się od *na przykład* lub mających jako element centralny imiesłów przysłówkowy), lecz raczej w sensie kompozycyjnym. Zresztą wszystkie wykojenia polegające na naruszeniu granicy zdania, czy to rozbijające jednostki wypowiedzeniowe, czy to grupujące je, z natury swej nie mieszczące się w składni zdania w ścisłym rozumieniu tego słowa — wszak granica zdania nie jest tu właśnie respektowana.

Trochę inaczej rzecz się ma z usamodzielnionymi członami nominalnymi, które na pierwszy rzut oka wydawać się mogą niepoprawne same prze się, źle skonstruowane wewnątrz. Tak jednak nie jest, można bowiem wskazać sytuację, gdy człony takie, nawet te, których nie można nazwać równoważnikami zdania, lecz np. zawiadomieniami, będą funkcjonować jako zupełnie poprawne jednostki — może to mieć miejsce w tytule lub parantezie. Człony takie są więc niepoprawne tylko w określonym kontekście, czasem nawet w każdym kontekście pełnych zdań.

To samo odnosi się do błędów we wprowadzaniu członów wtrąconych i uwag nawiasowych. Sytuacje te wymagają zastosowania stosunku zestawienia. Człony zestawione mimo związku treściowego i formalnego połączenia zachowują swą gramatyczną samodzielność i niezależność. Trzeba na tym miejscu przypomnieć, że paranteza i przytoczenie wymagają użycia podobnych konstrukcji składniowych<sup>16</sup>. Błędy polegające na po-

<sup>16</sup> To, że w wypadku przytoczeń i uwag wtrąconych mamy do czynienia z jednokowym stosunkiem składniowym, pokazał Zenon Klemensiewicz (Składnia opisowa współczesnej polszczyzny kulturalnej. Kraków 1937; s. 274—278. — oraz prace późniejsze, także cytowany już „Zarys składni polskiej”). Dokładniejszej analizie tego zagadnienia poświęcony jest artykuł W. Górnego „Zestawienie — czy tylko kategoria składniowa?” („Pamiętnik Literacki” 1962 z. 1 s. 181—193), postulujący objęcie badaniami składnikowymi także odcinków tekstu dłuższych niż zdanie.

mieszaniu mowy zależnej i niezależnej sprowadzają się właśnie do pomieszania dwóch składni: składni złożenia wypowiedzeniowego i składni nawiązania.

Najslabiej związany ze składnią odcinka tekstu dłuższego niż zdanie jest problem anakolutów i zdań urwanych. Tutaj mamy już do czynienia z wyraźnym naruszeniem wewnętrznej struktury zdania. Ale jest to struktura bardziej skomplikowana niż zwykle, zbyt skomplikowana, by piszący ogarnął ją jako całość. Zbliża to omawiane zagadnienie do problemu granicy zdania, a zwłaszcza potoku językowego.

Zanalizowane w niniejszym artykule błędy, ilustrowane w zebranych przeze mnie materiale wcale pokażą liczbą przykładów, każą wysnuć kilka wniosków metodycznych.

Tak więc niewątpliwie polscy metodycy, autorzy programów i podręczników powinni dostrzec kapitalny dla poprawności i sprawności językowej problem granicy zdania, traktowany do tej pory zupełnie po macoszemu. Musi on być związany z regułami interpunkcji, ale w żadnym wypadku nie może być sprowadzony wyłącznie do nich.

Nauczyciel, a także i uczeń, powinni sobie również jasno uświadamiać różnice między językiem mówionym a językiem pisanim. Właściwy poziom wiadomości w tym zakresie może być osiągnięty dopiero po przeprowadzeniu systematycznych badań nad językiem mówionym. Prace takie są u nas dopiero w załążku, dlatego też nie możemy dziś powiedzieć z całą pewnością, jaką polszczyzną mówimy. Już teraz można jednak opracować pewne ćwiczenia w zakresie operowania środkami charakterystycznymi dla języka mówionego i charakterystycznymi dla języka pisanego, opierając się na intuicyjnym rozróżnieniu tych podstawowych rodzajów współczesnej polszczyzny kulturalnej.

Naturalnie trzeba również opracować ćwiczenia mające na celu zwalczanie charakterystycznych błędów omawianych w niniejszym artykule, np. w operowaniu cytatami i wtrąceniami nawiasowymi, jednoznacznym wprowadzaniu podmiotu domyślnego czy zaimków.

Ponadto podane przykłady wyraźnych trudności w nawiązywaniu wskazują na konieczność szerszego uwzględnienia w szkole problematyki nawiązania, przechodzenia do nowych fragmentów itp., należącej do dziedziny praktycznego wykształcenia językowego, kompozycji wypowiedzi pisanej<sup>17</sup>. Przytoczone wyżej przykłady pokazują właśnie, w jaki sposób słabe wyrobienie językowe wpływa na brak umiejętności kompozycyjnych, i ogólnej — umiejętności wypowiedzenia się. Do dziedziny szerszej pojętej stylistyki praktycznej należy też sprawa umiejętności jasnego,

<sup>17</sup> Doniosłość tej problematyki i jej pograniczny charakter zostały na przykład dostrzeżone w metodyce radzieckiej. Jej analizie poświęcona jest cytowana już praca I. A. Figurovskiego „Sintaksis celogo teksta i učeničeskie pis'miennye raboty” (Moskwa 1961).

poprawnego pod względem językowym podkreślania logicznego pewnych wyrazów czy dłuższych fragmentów tekstu.

Z materiału zanalizowanego wypływają także wnioski ogólniejsze, dotyczące pewnych żywych tendencji wersji pisanej współczesnej polszczyzny kulturalnej. Tak więc o ile niektórzy wyrafinowani literaci wpadają obecnie w maniérę niestawiania kropek i operowania rodzajem potoku składniowego<sup>18</sup>, o tyle w wypowiedziach nieartystycznych panuje zdecydowanie tendencja odwrotna: rozbijanie kropkami niewątpliwych jednostek syntaktycznych i wydzielanie w ten sposób całości intonacyjnych. Tendencja ta, która pojawiła się przed laty co najmniej trzydziestu (a może w ogóle nigdy — od doby odrodzenia poczynając — nie zaniknęła? — rzecz wymaga szczegółowego zbadania), dziś wyraźnie wzmagą się. Dysponuję kilkoma setkami, analogicznych do cytowanych na tym miejscu, przykładów rozbijania kropką rozbudowanych zdań pojedynczych oraz zdań złożonych, zaczerpniętych z prasy — zamierzam je zanalizować na innym miejscu.

Drugą tendencją, którą wyraźnie pokazuje przytoczony materiał, jest dążność do operowania członami nominalnymi, związana na pewno ściśle z panującą obecnie w polszczyźnie ogólną tendencją do szerszego używania konstrukcji nominalnych zamiast werbalnych<sup>19</sup>.

<sup>18</sup> O wypadkach takich pisała Krystyna Pisarkowa (Rewolucja w składni czy maniera w interpunkcji? JP XLVI (1966) z. 4 s. 270—280).

<sup>19</sup> Jest to zresztą tendencja występująca szerzej we współczesnych językach europejskich. W polskiej literaturze naukowej analizuje ją na przykład A. Wierzbicka w artykule „Hipotaksa i konstrukcje nominalne w rozwoju polszczyzny” („Pamiętnik Literacki” 1962 z. 1 s. 195—216).

# R E C E N Z J E

Bernard Sychta: Słownik gwar kaszubskich na tle kultury ludowej. T. I A-G. s. 443. Wrocław 1967 Komitet Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk, Gdańskie Towarzystwo Naukowe

Z początkiem 1967 roku ukazał się pierwszy tom słownika B. Sychty, od dawna oczekiwany zarówno przez naukowców jak i przez kaszubskich działaczy regionalnych. Wstępne anonsy, poprzedzające jego wydanie drukowane były już w Języku Polskim (XLIII 1—2, s. 99—101) i Literaturze Ludowej (VIII 4—6, s. 84—92). Obecnie mamy możliwość pisać o dziele, którego pierwszy tom leży przed nami, a dwa następne są już w druku, kolejne tomy słownika będą się bowiem ukazywać co roku przez okres najbliższych 4—5 lat.

Pisząc o słowniku Sychty nie można pominąć jego poprzedników, autorów dotychczasowych słowników kaszubskich. Jako pierwszego „słownikarza” kaszubskiego wymienić trzeba K. C. Mrongowiusza, który opracowując w 1823 r. słownik niemiecko-polski, umieścił w nim pewną ilość słów kaszubskich sygnalizując w ten sposób słownikową odrębność gwar kaszubskich. Następnym z kolei był Rosjanin J. P. Prejs. Relacjonując swą podróż po Kaszubach dołączył do opisu niewielki zbiór słów (ok. 200). Mniej znany jest słownik zebrany przez F. Cejnowę, a wydany w 1861 r. w Petersburgu jako część większej pracy. Większą wartość naukową ma dopiero słownik A. Hilferdinga stanowiący część książki „Ostatki Słowian na jużnom bieriegu Bałtijskiego Moria” (1862). Autor zamieścił tu już ok. 1800 słów świadomie wybierając te tylko, które nie występują w języku polskim. Materiał do słownika zebrał Hilferding w rozmowach ze Słowińcami i Kaszubami; wykorzystał tu również prace Prejsa i Cejnowy.

Równie obszerny jest słownik G. Pobłockiego wydany w 1887 roku. Pobłocki miał tę przewagę nad Hilferdingiem, że pochodził z Kaszub, mógł zatem łatwiej i z większym autentyzmem przedstawić zbiór ciekawszych wyrazów kaszubskich — taki bowiem charakter posiada jego słownik. Nosi on jednak piętno pracy wykonanej przez amatora-zbieracza, pozbawionego wiedzy lingwistycznej.

Inny charakter ma słownik L. Biskupskiego wydany w Pracach Filologicznych 1891 r. Biskupski opierając się na pracach już drukowanych nie wnosi tu własnego materiału, zestawia natomiast wyrazy kaszubskie z wyrazami takiego samego pochodzenia z innych języków słowiańskich, a także z gwarowym słownictwem Wielkopolski.

Pierwszym poważnym dziełem opracowanym naukowo, a równocześnie wnoszącym duży nowy materiał był Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego S. Ramuła wydany w 1893 r. Zawiera on 14 000 słów zapisanych w pisowni fonetycznej opartej na fonetyce środkowokaszubskiej. Autor tej pracy był Małopolaninem, a słownik swój przygotował na konkurs im. Lindego, ogłoszony przez Akademię Umiejętności, uzyskując zresztą na tym konkursie nagrodę. Słownik Ramuła stał się przedmiotem żywej polemiki, wywołując szereg obszernych recenzji najważniejszych polskich językoznawców. Treścią tej polemiki jest jednak nie tyle słownik jako zbiór wyrazów gwarowych, co reprezentowany przez Ramuła pogląd na te-

mat odrębności językowej kaszubszczyzny. Słownik Ramuła jest do dziś jednym z głównych źródeł służących poznaniu leksyki kaszubskiej.

Znaczną ilość haseł — bo 24 000 — zawiera także słownik słowiański F. Lorentza wydany w 1809 roku. Autor jego odznaczał się i przygotowaniem językoznawczym i świetną znajomością gwar kaszubsko-słowiańskich. Słownik ten ma dziś wartość cennego dokumentu wobec faktu, że nie ma już ludzi mówiących dialektem słowiańskim. Jako praca leksykograficzna nie zdaje jednak egzaminu, zawiera bowiem zbyt wiele zbędnych wariantów fonetycznych i form słowotwórczych (co do tych ostatnich — można wątpić, czy były istotnie znane; por. recenzje K. Nitscha przedrukowane w Wyborze Pism Polonistycznych, t. III, s. 423—432).

F. Lorentz przygotował także oszerny słownik kaszubski, który na podstawie rękopisu autora wydany został w 1958 r. (litery A—P) przez Niemiecką Akademię Nauk w Berlinie. Słownik ten zawiera w znacznej mierze materiał wybrany z dotychczasowej literatury kaszubskiej, w tym także ze słowników. Drugi tom tego słownika opracowany przez dra F. Hinze na podstawie wszystkich dostępnych źródeł ma się wkrótce ukazać. Kaszubski słownik Lorentza jest dziełem kilkakrotnie obszerniejszym od słownika Ramuła (tom I A—P obejmuje ok. 700 stron). Nie zawiera on już wielu błędów popełnionych przez autora w słowniku słowiańskim. Rzeczą najważniejszą jest zastosowanie uproszczonej pisowni. Na słowniku tym ciąży jednak fakt, że autor — Niemiec uzyskiwał materiał do słownika drogą tłumaczenia z niemieckiego. Stąd znaczna tu ilość kalk językowych, a nawet obcych gwarze terminów wprowadzanych „odgórnie” przez administrację. Z drugiej strony brak w słowniku wielu słów gwarowych, do których ogromnie trudno dotrzeć komuś, dla kogo gwara ta nie jest językiem rodzimym.

Wydawany obecnie słownik B. Sychty można z pewnością nazwać największym, najbogatszym i najbardziej autentycznym słownikiem kaszubskim. Jego autor posiada wszystkie niemal dane, pozwalające na opracowanie dzieła o dużej wartości. Na pierwszym miejscu wymienić trzeba fakt, że B. Sychta sam jest Kaszubą, wychował się w rodzinie mówiącej po kaszubsku i do dziś na codzień posługuje się kaszubszczyzną, w różnych stronach Kaszub ma krewnych i przyjaciół — wszystko to znakomicie ułatwiało zebranie materiału i spowodowało, że odznacza się on zarówno ogromnym bogactwem jak i całkowitym autentyzmem. Zainteresowanie rodzimą gwarą zbudziło się u Sychty jeszcze w szkole — już wtedy rozpoczął zapisywanie kaszubskiego słownictwa. Systematyczną pracę nad słownikiem podjął ponownie w 1950 roku. O sposobie gromadzenia materiału pisze autor szczegółowo w przedmowie do Słownika. Istotne jest, że osobiście był we wszystkich zakątkach Kaszub, że dzięki umiejętności zjednywania sobie ludzi mógł uzyskać materiał wyrazowy, do którego niełatwo jest dotrzeć. Praca zbieracka trwała 15 lat. Jest to materiał językowy „z pierwszej ręki” w przeciwieństwie do Lorentzowskiego Pomoranisches Wörterbuch, gdzie znaczna część słów pochodzi ze źródeł publikowanych. „W słowniku nie znajduje się ani jeden wyraz, którego bym na własne uszy nie słyszał, który by nie był poświadczony w potocznym języku” — pisze Sychta.

B. Sychta będąc raczej folklorystą niż językoznawcą zdawał sobie sprawę z potrzeby kontaktu z językoznawcami. Słownik obudził zainteresowanie K. Nitscha, który oglądał materiały autora w czasie ich gromadzenia i z którym autor korespondował. Niewątpliwie z korzyścią dla Słownika było, iż kwestia pisowni ustalona była z prof. K. Nitschem i T. Lehrem-Splawińskim. W okresie prac redakcyjnych nad Słownikiem nawiązany też został stały kontakt z prof. Z. Stieberem i doc. dr H. Popowską-Taborską z Zakładu Słowianoznawstwa PAN.

Znając wszystkie niedostatki dotychczasowego dorobku leksykograficznego kaszubszczyzny, podkreślane wielokrotnie w recenzjach, spostrzegamy, że B. Sychta dążył uniknąć błędów swoich poprzedników. Stosuje więc postulowany przez K. Nitscha

układ gniazdowy haseł (inaczej niż Lorentz w *Slovinzisches Wörterbuch*), „porządek alfabetyczny jest w słowniku tylko koniecznym złem, znaczną ilość zupełnie wyraźnych pochodnych można i powinno się grupować przy podstawowym wyrazie” (WPP III, s. 426). Uniknął też Sychta niebezpieczeństw wynikających z tłumaczenia z niemieckiego.

Celem jaki sobie autor postawił, było przedstawienie obecnego stanu słownictwa kaszubskiego. Zastosowana została w Słowniku pisownia półfonetyczna, etymologizująca, co z jednej strony zachowuje autentyzm zapisu, z drugiej pozwala uniknąć pewnej nieprzejrzystości, jaką niesie stosowana konsekwentnie pisownia fonetyczna. Starsze słowniki kaszubskie (w tym także Ramułt) nie oznaczają zupełnie akcentu. Sychta wprowadza oznaczanie akcentu zgodnie z jego zróżnicowaniem w różnych gwarach kaszubskich. Znaczne różnice fonetyczne, słowotwórcze i leksykalne zmuszają autora do lokalizowania haseł, a w zależności od potrzeby, także ich znaczeń, a nawet niekiedy odmian fonetycznych. Stosowana tu lokalizacja jest bądź ogólna (pn., śr., pd.) bądź bardziej szczegółowa (Zabory, Gochy, nazwa wsi np. Puzdrowo). Autor wprowadza też znaki mówiące o tym, że dany wyraz wyszedł już z użycia bądź też znany jest już tylko w najstarszym pokoleniu.

Poszczególne hasła i ich znaczenie ilustruje autor nie tylko przykładami codziennego ich używania, ale często także przysłowiami, zagadkami, a nawet całymi opowiadaniem, przez co Słownik staje się nie tylko zbiorem słów, lecz także kopalnią najrozmaitszych przypowieści, wierzeń itp., stanowiących niewątpliwie ciekawy materiał folklorystyczny. Pewną trudność sprawiać tu może jednak dotarcie do tego materiału. Przykładowo: jeśli ktoś zainteresuje się przysłowiami Kaszubów zmuszony będzie przeczytać cały Słownik.

Dużym ułatwieniem dla korzystających ze Słownika jest natomiast zarówno załączony na końcu tomu indeks jak i cały system odsyłaczy przy hasłach, i to odsyłaczy nie tylko czysto porządkowych, ale także i treściowych np. do synonimów, od jednej części narzędzia do nazwy całości etc.

Z zapożyczeń niemieckich zamieszcza autor te tylko, które zostały już przyswojone i zaadaptowane do kaszubskiego systemu fonetycznego i morfologicznego,

Wielokrotnie spotykamy w Słowniku nazwy osobowe, nazwy miejscowości, a także nazwy terenowe. Wśród nazw miejscowości będą to te, z którymi wiążą się zebrane przez autora legendy, wierzenia, żartobliwe opowieści. Wprowadzenie pozostałego materiału onomastycznego jest dość przypadkowe, niepełne (zwłaszcza w zakresie nazw terenowych), nasuwa więc wątpliwości, czy nie byłoby słusniejsze wydzielenie go i opublikowanie w innej pracy, gdzie z konieczności musiałby być potraktowany z większą konsekwencją.

Zamierzeniem autora było, aby Słownik stał się dla nie-Kaszubów przewodnikiem po języku i kulturze kaszubskiej, dla Kaszubów zaś aby był bodźcem do zachowywania, pielęgnowania i wzbogacania rodzimej mowy. Wydaje się, że Słownik zadania te będzie mógł w pełni realizować.

Zasługą prac zbierackich polegających przede wszystkim na gromadzeniu materiału — a do takich należą m.in. słowniki gwarowe — jest to, że stają się one pomocą i bodźcem do dalszych prac naukowych. I tak jak słownik Ramułta wywołał przełom w badaniach nad kaszubszczyzną, tak Słownik Sychty przyczynić się będzie do powstawania dalszych prac pogłębiających naszą wiedzę o gwarach kaszubskich. Warto tu odnotować, że są już w druku dwa artykuły H. Popowskiej-Taborskiej z zakresu słownictwa kaszubskiego, napisane w oparciu o nowe materiały, jakie wnosi Słownik Sychty

*Ewa Rzetelska-Feleszko*

## X MIĘDZYNARODOWY KONGRES LINGWISTÓW

I. W dniach od 28 sierpnia do 2 września u.r. obradował w Bukareszcie Międzynarodowy Kongres Lingwistów. Liczył on ponad 1600 uczestników z 56 krajów; ostateczny program posiedzeń przewidywał ogółem ponad 700 referatów (z których część nie została wygłoszona na skutek nieobecności referentów). Sześć posiedzeń plenarnych poświęconych było dyskusji nad podstawowymi ogólnymi problemami językoznawstwa (metodologia, stosunek do innych nauk), trzynastce sekcji pracowało równolegle (i często w kilku podsekcjach) nad bardziej szczegółowymi zagadnieniami. Rozbicie na wiele sekcji (1. Teoria językowa, 2. Socjolingwistyka, 3. Geografia lingwistyczna, 4. Historia językoznawstwa, 5. Semantyka, 6. Składnia, 7. Poetyka, 8. Zagadnienia przyswajania języka przez dziecko, 9. Psycholingwistyka, 10. Stylistyka, 11. Typologia języków, 12. Patologia mowy, 13. Varia.) oraz nierównomierna intensywność pracy w poszczególnych sekcjach świadczą o dużym zróżnicowaniu współczesnego językoznawstwa oraz o silnej koncentracji na pewnych zagadnieniach; np. sekcje semantyki i składni pracowały z reguły w 4 podsekcjach, podczas gdy np. sekcja geografii lingwistycznej czy psycholingwistyki miały czterokrotnie mniej referatów.

II. W czasie obrad plenarnych wygłoszono następujące referaty: B. Malmberg: „Synchronia i diachronia”, R. Jakobson: „Lingwistyka i nauki sąsiednie”, E. Petrovici: „Wzajemne przenikanie systemów językowych”, C. Devoto: „Metoda porównawcza a aktualne prądy w lingwistyce”, O. Achmanova: „Lingwistyka i badania ilościowe”. Na ostatnim posiedzeniu, które miało być poświęcone zastosowaniom lingwistyki, A. H. Roberts przedstawił prace Ośrodka Waszyngtońskiego.

Jak z tego przeglądu wynika, w centrum zainteresowania znalazły się problemy metodologiczne ogólne (problem badań synchronicznych i diachronicznych) i bardziej szczegółowe (bilingwizm — Petrovici, metoda komparatystyczna — Devoto), oraz kapitalna dla współczesnego językoznawstwa sprawa stosunku lingwistyki do innych dyscyplin (Jakobson, Achmanova).

III. Postawiony przeszło pół wieku temu przez de Saussure'a problem odróżnienia dwóch aspektów badań: synchronii i diachronii, stanowił przedmiot dyskusji po referacie B. Malmberga. Referent kładł nacisk na to, że lingwista musi według własnego uznania odgraniczyć w języku to, co będzie traktował jako jeden stan synchroniczny. Diachronia sprowadza się do porównywania kolejnych stanów w ten sposób wyodrębnionych, a więc lingwistyka historyczna wchodzi, tak jak to było w okresie przed młodogramatykami, w obręb lingwistyki porównawczej, która obejmuje także porównywanie odrębnych stanów nie w czasie, ale w przestrzeni. Zarówno przestrzeń jak i czas stanowią przy tym kategorie pozajęzykowe.

W dyskusji kładziono nacisk na rozdzielenie metodologicznego i ontologicznego aspektu zagadnienia synchronii i diachronii, postulowano odróżnienie czasu aktualnego, któremu podlega akt mowy, i czasu historycznego, któremu podlegają systemy językowe; stwierdzano wielokrotnie osłabienie opozycji między synchronią i diachronią we współczesnym językoznawstwie, które zdaje sobie sprawę z dynamiczności



ci, otwartości systemów językowych oraz z wagi badań diachronicznych dla właściwego opisu synchronicznego.

IV. W centrum zainteresowania znalazła się aktualna dla wszystkich zajmujących się językiem sprawa stosunku lingwistyki do innych nauk. Jakobson w swoim referacie zdecydowanie zakwestionował słuszność ostatniego zdania z Kursu de Saussure'a („jedynym prawdziwym przedmiotem językoznawstwa jest język rozpatrywany sam w sobie i ze względu na siebie samego”) i ukazał wszystkie powiązania lingwistyki z naukami sąsiednimi: psychologią, socjologią, biologią, fizyką, termodynamiką i matematyką, postulując ścisłą współpracę między przedstawicielami poszczególnych dyscyplin w grupach czy też instytutach dla tych celów stworzonych.

I tak — przykładowo — autor widział jako wspólny teren zainteresowań językoznawcy i biologa zagadnienia:

1) podobieństw i różnic między językami ludzi i zwierząt, ich strukturą oraz rolę dziedziczności i adaptacji środowiskowej w ich kształtowaniu,

2) problem tzw. kodu molekularnego, przy pomocy którego przekazywana jest informacja genetyczna, a który wykazuje niespodziewane podobieństwa do kodu języka naturalnego,

3) zagadnienia teleologii, celowościowego ujmowania rozwoju. W tym zakresie współczesna biologia może być wzorem dla językoznawstwa, które wciąż jeszcze wykazuje brak zaufania wobec postawy teleologicznej.

4) zagadnienie glottogenezy, które musi być obecnie rozpatrywane w obrębie szerszej rozumianej nauki o biologicznej ewolucji człowieka.

5) problem relacji między zdolnością mówienia i organizmem człowieka, który można badać przy okazji wszelkiego typu patologii mowy.

Referat Achmanovej dotyczył jednego z aspektów między lingwistyką a matematyką, a mianowicie sprawy opisu ilościowego języka. Zagadnienie stosunku między lingwistyką i matematyką wywołało bardzo ożywioną dyskusję zarówno po referacie Achmanovej jak i Jakobsona, co jest świadectwem ważności tego problemu dla współczesnej lingwistyki. W dyskusji zastanawiano się nad tym, jaki jest udział matematyki w badaniach lingwistycznych. Czy matematyka ma służyć tylko lingwistyce swoimi metodami opisu (np. metodą statystyczną czy techniką zapisu symbolicznego) czy też ma także pomagać w budowaniu ogólnej teorii języka. Rozważano też problem, czy wystarczy współpraca specjalistów lingwistów i specjalistów matematyków (jak to postulował Jakobson), czy też konieczne jest kształcenie ludzi, którzy byłiby jednocześnie specjalistami w obu dziedzinach. To ostatnie rozwiązanie, a co za tym idzie konieczność utworzenia studiów uniwersyteckich w zakresie lingwistyki i matematyki jednocześnie, wydało się wielu dyskutantom jedynie słuszne (Marcus, Slama-Cazacu).

V. Obrady sekcyjne dawały orientację w problematyce bardziej szczegółowej różnych działów lingwistyki. Oczywiście niemożliwością było wysłuchanie wszystkich referatów choćby jednej sekcji pracującej w podsekcjach (na sekcji semantycznej i składniowej ogłoszono ich ok. 130 równocześnie w 7 podsekcjach). Jednakże nawet niewielki procent wysłuchanych referatów pozwala na dokonanie pewnych obserwacji. Przede wszystkim uderza bliskość tematyczna referatów wygłaszanych w Sekcjach semantyki i składni; np. referat Ireny Bellert „O problemie semantycznej interpretacji podmiotu i orzeczenia w zdaniach szczegółowego odniesienia” był wygłoszony w sekcji semantycznej, a referat Milki Ivić „Semantyczne przyczyny zjawiska składniowego zwanego determinacją obligatoryjną” został zaliczony do sekcji syntaktycznej. Zbieżności te nie są przypadkowe. Problem semantycznej interpretacji i semantycznych uwarunkowań struktur składniowych stoi w centrum uwagi współczesnej składni. Semantyka z kolei coraz bardziej staje się również semantyką zdań, a nie tylko wyrazów, ponieważ w ten sposób dopiero staje się semantyką komunikatów językowych.

Szczególnym zainteresowaniem w zakresie semantyki i składni cieszyły się następujące zagadnienia:

1. Problem poziomów w strukturze treści. Tak np. F. Daneš w referacie „Semantyczne rozważania w zakresie składni” wyróżniał trzy plany: znaczenie językowe (meaning), znaczenie „poznawcze” (cognitiv meaning) oraz plan rzeczywistości (object). Zdania typu: *John likes music*, i *Music pleases John* mają różne znaczenia językowe, natomiast to samo znaczenie poznawcze. Tego rodzaju zdania nazywa się parafrazami.

S. Karolak w referacie zatytułowanym „Analiza syntagmatyczna i analiza semantyczna” mówił również o trzech poziomach w tekście: 1) poziomie wewnętrznej organizacji zdań, 2) poziomie semantycznym i 3) poziomie pragmatycznym, akcentując brak bezpośredniego związku między poziomem 1) i 2) oraz konieczność identyfikacji fraz o różnym rozczłonkowaniu formalnym a wspólnej treści.

Bliski tym referatom z punktu widzenia podstawowego problemu był wspomniany już referat I. Bellert. Autorka wskazywała na odmienną powierzchnię i głęboką strukturę zdań; m.in. podmiot logiczny, tj. podmiot w strukturze głębokiej, nie musi bynajmniej pokrywać się z podmiotem w strukturze powierzchniowej zdania.

K. Horálek w referacie zatytułowanym „Sinn nud Bedeutung” prezentował klasyczne rozróżnienie tych dwóch pojęć przez Fregego oraz odmienne zupełnie ujęcie V. Skalički.

2. Problem ustalania najmniejszych elementów semantycznych rozbijania znaczeń na elementarne jednostki, tzw. semy.

Tej kwestii poświęcony był m.in. referat M. Bierwischa „O klasyfikacji cech semantycznych”, w którym autor polemizując z tezami Katza i Fodora przedstawił swoją koncepcję opisu znaczenia jednostek leksykalnych. Jego zdaniem da się ono wyrazić przy pomocy cech semantycznych, które w rozumieniu logicznym są predykatami pierwszego i drugiego stopnia.

Nie zabrakło i opozycji wobec przenoszenia do semantyki pojęć i metod badawczych fonologii tj. rozbijania znaczeń na semy, jak fonemu na cechy dystynktywne. Jej jaskrawym przejawem był referat Uhlenbecka „Dynamiczna natura znaczenia wyrazu”.

3. Cały szereg referatów dotyczyło problemu semantycznych uwarunkowań struktur składniowych. Np. referat P. i C. Kiparskich „Semantyka zdań podrzędnych” przedstawiał uzależnienia tych zdań od wartości semantycznej czasowników zdania nadrzędnego. Cytowany już referat M. Ivić wskazywał na semantyczne przyczyny zjawiska koniecznej determinacji, tzn. sytuacji, w której musi być dodany określnik; np. nie można powiedzieć samo *człowiek z nosem*, ale trzeba dodać określnik (np. *długim, zakrzywionym*). Dzieje się tak dlatego, że do znaczenia wyrazu *człowiek* wchodzi element posiadania nosa, a więc samo połączenie *człowiek z nosem* byłoby dublowaniem informacji.

Uderzające w zakresie semantyki i składni jest posługiwanie się, przez młodych zwłaszcza badaczy, aparatem logiki matematycznej. W dyskusjach mówiono o tym, że aparat ten w postaci istniejącej jest nie wystarczający do opisu języka naturalnego, który posiada np. o wiele więcej kwantyfikatorów niż te, które wyróżnia logika tradycyjna (Hlavsa). Badanie języka naturalnego metodami logicznymi z jednej strony pozwala językoznawcom dochodzić do głębokich struktur semantycznych (wyżej wzmiankowanego „cognitiv meaning”) jednostek językowych, z drugiej strony wpłynie w dużym stopniu na rozbudowę systemów logicznych.

VI. Uwagi o referatach innych sekcji mogą tu być tylko zupełnie pobieżne. Oto np. zwraca uwagę brak referatów dotyczących teoretycznych problemów słowotwórstwa. Jedyny taki referat Motscha postulujący badanie głębokich struktur na materiale niemieckich wyrazów złożonych, poza modną terminologią nie wnosił właści-

wie żadnych nowych stwierdzeń. Charakterystyczny dla Zjazdu był w ogóle brak sekcji morfologii, której problemy omawiano pod ogólnym tytułem „Varia”. Natomiast ciekawe było to, że zagadnienia patologii mowy stanowiły przedmiot obrad osobnej sekcji: wygłoszono w niej ogółem 14 referatów (w tym referat prof. Łurii, znakomitego afazjologa z Moskwy).

Bardzo ograniczony czas referatów i dyskusji sekcyjnych (15 min. referat, 15 min. dyskusja), nie wyrównany poziom referatów i wystąpień dyskusyjnych oraz pewien chaos powstający na skutek nieustannego przenoszenia się z sali na salę całych grup uczestników Zjazdu utrudniały głębsze percypowanie zagadnień merytorycznych. Jest zresztą rzeczą oczywistą, że tego rodzaju Kongres daje raczej ogólną orientację w kierunkach zainteresowań i metodach badawczych różnych ośrodków niż konkretną wiedzę o faktach i problemach.

*R. Grzegorzycowa i J. Puzynina*

## I MIĘDZYNARODOWY UNIWERSYTECKI KURS JĘZYKA GÓRNO-ŁUŻYCKIEGO W BUDZISZYNIE. 16—31 VII 1967

Tak jak w innych ośrodkach slawistycznych, także w Budziszynie odbył się, w tym roku po raz pierwszy, wakacyjny kurs języka górno-łużyckiego. Organizatorem był Instytut Łużycki Uniwersytetu im. K. Marksa w Lipsku, kierownikiem — prof. dr H. Šewc. Program trwającego tylko dwa tygodnie kursu był bardzo bogaty i konsekwentnie przemyślany. Zestaw wykładów obejmował całokształt problematyki łużyckiej zarówno w dziedzinie językoznawstwa, jak historii literatury, historii, folklorystyki, socjologii, demografii itp. Zilustrować to mogą tytuły wykładów: „Marksistowska polityka narodowościowa NRD”, „Miejsce języków łużyckich wśród języków słowiańskich”, „Stan i wyniki badań demograficznych na Łużyczach”, „Współczesna proza łużycka”, „Poezja łużycka XX w.”, „Łużycka sztuka ludowa”, „Historia rozwoju dwu literackich języków łużyckich”, „Zróżnicowanie dialektalne łużyckiego obszaru językowego”, „Kilka strukturalnych różnic między górną i dolną łużyczczyną”, „J. B. Ciszynski i jego epoka”, „Najważniejsze etapy historii Łużyc do r. 1917”, „Nowsza historia Łużyc aż do czasów dzisiejszych”. Wykładowcami byli: poseł na sejm i przewodniczący organizacji Domowina K. Krenz, kierownik Instytutu Łużyckiego w Lipsku prof. dr H. Šewc oraz docentka tegoż Instytutu dr L. Hejnec, prof. dr W. Nedo, kierownik Instytutu Łużyckiego w Budziszynie dr P. Nowotny i pracownicy tego Instytutu: dr F. Michałk, dr H. Faska, dr F. Mětsk, dr G. Müller-Młynk, dr J. Brankač, dr M. Kasper, dypl. hist. K. Schiller. Wszystkie wykłady prowadzone były w języku górno-łużyckim. Ponadto w trzech grupach (dwie dla początkujących, jedna dla zaawansowanych) odbywał się lektorat górno-łużycki.

Uczestnicy kursu mieli możliwość zapoznania się bezpośrednio z problemami życia naukowego, kulturalnego, politycznego i społecznego Łużyc. Zwiedzono Instytut Łużycki i Centralne Archiwum Łużyckie w Budziszynie, obejrzano współczesną sztukę łużycką „Nocny pacjent” w wykonaniu zespołu teatralnego z Budziszyna oraz występy ludowego zespołu pieśni i tańca Łużycki Ensemble, zwiedzono muzeum literatury łużyckiej, odbyło się spotkanie z czołowymi przedstawicielami literatury oraz drugie z działaczami kulturalnymi, oświatowymi i społecznymi — obydwie połączone z żywą dyskusją. Zagadnienie folklorystyczne zbliżyła projekcja krótkometrażowego filmu o łużyckich zwyczajach ludowych również połączona z dyskusją. Obraz kultury łużyckiej uzupełnił koncert z płyt muzycznych utworów łużyckich

w przekroju historycznym: od w. XIII do chwili obecnej opatrzone ciekawym komentarzem.

Szczególną wartość poznawczą miały wycieczki terenowe. Trasa pierwszej prowadziła przez Radworje do Wjerbna i Serbskich Błot, gdzie zwiedzono skansen dolno-łużycki oraz Trjebina w okręgu Slepiańskim. Tam kursanci wzięli udział w zabawie ludowej na której słuchano miejscowych pieśni i gry na ludowych instrumentach. W czasie drugiej wycieczki zwiedzono starą łużycką osadę Wotrow i muzeum B. Cizyńskiego w Panczicach. W miejscowości Horka wszyscy członkowie kursu udali się do prywatnych domów miejscowej ludności, gdzie byli przyjmowani ze wzruszającą gościnnością. Oprócz wycieczek zbiorowych organizowano również indywidualne, prywatne spotkania kursantów z poszczególnymi rodzinami łużyckimi.

Członkowie kursu mogli zapoznać się również z kulturą NRD. Zwiedzono Drezno, Miśnię i muzeum Lessinga w miejscowości Kamenz. W kursie wzięło udział 27 osób z dziewięciu krajów, a mianowicie ze Związku Radzieckiego, Polski, Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii, Szwecji, Austrii, NRF i Włoch. Wszyscy członkowie kursu byli pracownikami naukowymi, w kilku wypadkach tłumaczami literatury pięknej.

Podkreślić należy doskonałą, sprężystą organizację kursu oraz wytworzoną przez gospodarzy serdeczną atmosferę, towarzyszącą kursowi przez cały czas jego trwania.

*Ewa Siatkowska*

# C O P I S Z A O J Ę Z Y K U ?

Jedną z ciekawych pozycji popularnonaukowych w zakresie językoznawstwa, które ukazały się w minionych miesiącach, jest niewątpliwie artykuł wybitnego, znanego z sądów nader indywidualnych uczonego, prof. dra Jana Otrębskiego, pt. *O Bałtach i Słowianach* („Problemy”, nr 8 z 1967 r.). Autor przypomina, iż nazwa *Baltowie* ma charakter umowny, roboczy i odnosi się do czterech tylko narodów: Litwinów, Łotyszów oraz wymarłych Prusaków i Jadźwingów. Obszar językowy litewski kurczy się nawet w naszych czasach, np. zanikł w ostatnich latach izolowany dialekt okolic miejscowości Zietala (na południowy zachód od Nowogródka). Bardzo ułamkowo znany język Jadźwingów zostawił po sobie ślady w nazwach własnych litewskich, białoruskich i polskich. Prof. Otrębski wysuwa hipotezę, iż jadžwińskiego pochodzenia jest m.in. imię pierwszego naszego historycznego księcia — *Mieszka* (w źródłach ruskich: *Mieźko*). Bałtycki — w sensie etymologicznym — źródłosłów upatruje również autor w nazwach *Gdańsk*, *Gdynia*, broni on bowiem tezy, iż przedśłowiańską ludnością nie tylko Wschodniego, ale i częściowo Zachodniego Pomorza były plemiona bałtyckie, później dopiero zeslawizowane. Stąd dalsze przypuszczenie, iż polszczyzna Kaszubów i Słowińców nie jest pierwotna, lecz oparta na substracie (podłożu) bałtyckim, czego dowodem mogą być np. kasubskie *karwińc*, nazwa miejscowa *Karwia* (por. litewskie *karve* obok polskiego *krowa*). Wszystkie te wywody wymagają szczegółowego poparcia, już bowiem w pierwszej chwili nasuwają się wątpliwości: rzekomo bałtycka *Gdynia* znana jest również na południu Czech (*Kdyně*), rdzeń *karw-* zamiast *krow-* występuje nie tylko na obszarze kaszubskim, ale również na Śląsku Cieszyńskim, gdzie leży miasto *Karwina* (forma czeska jest przymiotnikowa: *Karvinná*).

Równie śmiałą i ciekawą jest definicja języka białoruskiego, jako wielkoruskiego (tzn. rosyjskiego) ukształtowanego na podłożu bałtyckim.

Bezsporną wartość informacyjną mają uwagi autora o nie zbadanych jeszcze nalezycie a nader licznych pożyczkach słowiańskich, polskich i białoruskich w zakresie litewskiego słownictwa i frazeologii. Na opracowanie czeka także temat niejako odwrotny — zagadnienie pożyczek litewskich w polszczyźnie, w zasadzie niezbyt licznych. Prof. Otrębski przypomina, że do w. XV polski obszar językowy nie stykał się bezpośrednio z litewskim, lecz z jadžwińskim i właśnie jadžwińskiego pochodzenia są starsze zapożyczenia bałtyckie, np. *pakuły*.

Dobrze się stało, że cała grupa artykułów o języku a ściślej — o kulturze języka — poświęcona jest jakże ważnej dziedzinie frazeologii, stylu, słownictwa. Warto tu wymienić przede wszystkim obszerną wypowiedź Małgorzaty Semil pt. *Teatr bez dzieci* („Dialog”, nr 7 z 1967 r.), poddającą krytyce naszą dotychczasową twórczość w dziele sztuk scenicznych przeznaczonych dla dzieci. Obok zagadnień wychowawczych, dotyczących treści oraz ściśle teatrologicznych autorka porusza również sprawę języka, sprawę „warstwy słownej” omawianych utworów. Głównymi niedomaganiem są tu: używanie słów i zwrotów dla dziecka niezrozumiałych (np. *perfidnie*, *kosmogonia*), „posługiwanie się utartymi kliszami, pozbawionymi głębszego sensu

frazesami z żargonu gazetowego" (np. *papuga posiada duży zapas mądrości; wróg chce w przeddzień epokowych wydarzeń dezorganizować; nie wiem, czy się zmieścimy w budzecie* itp.). Autorka słusznie podejrzewa, że używanie rzekomo współczesnego, dziennikarskiego języka wypływa z chęci dostarczenia zabawy dorosłym, którzy towarzyszą na przedstawieniach dzieciom. A chodzi tu zresztą nie tylko o język, ale i o aluzje lub sytuacje, zrozumiałe jedynie dla starszych, najczęściej zabarwione satyrycznie. Osobny rozdział stanowi język wierszyków. Poprawność gramatyczną, sens, zrozumiałość — autorzy poświęcają tu jakże często dla rymu.

Słowem — obraz całości niezbyt wesoły.

Dość pesymistyczne wnioski wyciąga również Henryk Krzeczkowski, w artykule *Uczone niemowy* („Tygodnik Powszechny”, nr 40 z 67 r.), omawiając styl i język najszej krytyki literackiej. Autora razi maniera polegająca na nadużywaniu określeń rzekomo naukowych, często zaczerpniętych z terminologii matematycznej i przyrodniczej. Autor nader słusznie apeluje do krytyków o „pisanie dla czytelników książek, a nie dla swoich kolegów po piórze”. Z równą słusnością zwraca też uwagę, iż ów pseudonaukowy język, rojący się od słów obcego pochodzenia, używający długich, zawile budowanych okresów — często służy „w najlepszym razie do ukrywania myśli” albo też do „osłaniania bezmyślności”. Zaiste, jakże daleko odbiegliśmy od epoki Oświecenia, kiedy to ideałem była jasna myśl ubrana w równie jasną, prostą a zarazem dokładnie ujmującą temat postać słowną! W dzisiejszych czasach wytrwałym rzecznikiem tezy o nierozłącznym związku między jasnością myśli a prostotą i precyzją wypowiedzi jest prof. dr W. Doroszewski.

Pokrewny temat przewija się w artykule W-r pt. *Aby język nie szeleścił papierem* („Trybuna Ludu”, nr 284 z 1967 r.). Oczywiście chodzi tu o szelest papieru tzw. pism urzędowych. Nie tylko rzecz w tym, by styl urzędowy nie przenikał do krytyki literackiej, literatury, publicystyki, ale również by pisma właśnie urzędowe — bo jednak i takie są potrzebne — były dla każdego zrozumiałe, by nie raziły sztywnością, napuszoną lub nieporadnością stylu.

Wspomniane niżej artykuły przytaczają oczywiście przykłady omawianych niedostatków stylistycznych, dla ubawienia — a zarazem ku przestrodze — czytelników zacytuje tu wszakże zdanie ilustrujące styl krytyki literackiej, zaczerpnięte z czasopisma „Współczesność”, a podane w rubryce *Zywocik literacki* (Zycie Literackie”, nr 36 z 67 r.) Oto ono: „plan eschatologiczny zdaje się w tej prozie pełnić funkcję mikrorzeczywistości, kanalizującej znaczenie uniwersalne, ogólnoludzkie”. Boże, chroń przed taką kanalizacją!

Jeżeli natomiast chodzi o język pism urzędowych, równie wyrazistą jego ilustracją jest przykład zacytowany przez J. K. w „Głosie Koszalińskim” (nr 241 z 67 r. — Polacy nie gęsi...): „Był on trzykrotnie karany, a czwarty raz był w zawieszeniu za mienie państwowe, które nadużył”. Tu zresztą chodzi nie tyle o szablonowość czy sztywność, ile wręcz o zwykłą nieumiejętność budowania zdań.

To było o języku dorosłych, piszących dla dorosłych i dla dzieci, teraz zaś słówko o języku młodzieży. Zgoła rozsądnie pisze na ten temat Janina Słomińska w artykule *Pan to przyswaja?* (nr 18 magazynu „Pomorze”, 1967). Tytuł zaczerpnięty jest oczywiście z tekstu popularnej do niedawna piosenki Wojciecha Młynarskiego, który — wedle autorki — w sposób satyryczny odzwierciedla potoczną mowę naszego młodego pokolenia. A skoro mowa o piosenkach, J. Słomińska nie bez słusności zwraca

uwagę, że ślepe uwielbienie dla angielszczyzny każe niektórym naszym wykonawcom tak bełkotliwie śpiewać po polsku, by tekst upodobił się dźwiękowo do tekstu angielskiego. Nawiasem tu wtrącając, że M. A. Styks w *Przeglądzie prasy* „Życia Literackiego” (nr 36 z 1967 r.) krytykuje z kolei aktorów za „nowoczesną” manierę, polegającą na zupełnie błędnym przesuwaniu pauzy międzywyrazowej, np. zamiast: *pyta pan — która godzina* słyszymy często ze sceny: *pyta — pan która godzina*.

Wracając do zarzutów wysuniętych przez J. Słomińską, zanotować warto jej stwierdzenie, iż istnieje ścisła zależność między niechlujstwem językowym w mowie potocznej a niechlujstwem w tekście literackim. Bo rzeczywiście, teksty literackie (m.in. teksty piosenek) nierzadko grzeszą przeciw poprawności gramatycznej lub stylistycznej, a stanowiąc wzór dla języka mówionego, zachwaszczają go. Z kolei zaś właśnie ta żywa mowa potoczna zasila literaturę, czyli wytwarza się coś w rodzaju błędnego koła. Autorka omawia główne cechy potocznej polszczyzny, używanej zwłaszcza przez młodzież: 1) wspomniane już błędy często gramatyczne, 2) nadmierne używanie pseudonaukowych terminów i określeń, 3) niekonkretność wypowiedzi, brak elementarnej ścisłości i 4) wulgaryzacja języka, czyli hojne szafowanie tzw. mocnymi słówkami, na dobitkę ograniczone do paru zaledwie źródłosłów (jeden czasownik na *p* oraz dwa rzeczowniki: na *k* i na *ch*). Autorka wypowiada nieodkrywcą zapewne, ale bardzo trafną opinię, iż „językowa nonszalancja świadczy o braku szacunku dla drugiego człowieka” (oczywiście dla tego, do którego mówimy).

Szukając środków naprawy, autorka zwraca się o pomoc do polonistów, ale — jeżeli chodzi o sprawę poprawnej recytacji — nie bez słuszności przypomina, że nie każdy polonista szkolny jest dobrym recytatorem. Stąd jej „nieśmiała prośba”, by aktorzy teatralni zechcieli podjąć się pracy z młodzieżą szkolną. Od siebie tu dodam, że równie pilny, jeśli nie pilniejszy nawet, jest od dawna już wysuwany w kręgach uniwersyteckich postulat, by wszyscy studenci — przyszli nauczyciele (a nawet nie tylko oni) obowiązkowo uczęszczali na lektorat z zakresu poprawnej wymowy. Oczywiście najpierw należy utworzyć i odpowiednio obsadzić takie lektoraty.

\*

Ze zgola innej strony omawia język młodzieży artykuł Teresy Skubalanki i Stanisława Grabiasa w nrze 18 „Kameny”: *Gdy korytkuje grzdyl... — słownik gwary studenckiej*. (*Grzdyl* — inaczej *nutria*, *żłób* — „to niemiły facet”; *korytkować* = jeść). Podtytuł wyjaśnia sprawę: chodzi o informację o pracach nad ogólnopolskim słownikiem gwary studenckiej, podjętych przez Koło Językoznawcze słuchaczy Uniwersytetu M. Skłodowskiej-Curie w Lublinie. Opiekę naukową nad tym niełatwym przedsięwzięciem sprawuje prof. dr L. Kaczmarek. Artykuł przytacza sporo przykładów ze słownictwa studenckiego, opisuje układ słownika (część I: wykaz wyrazów i zwrotów uporządkowanych według znaczeń, część II: indeks alfabetyczny), wreszcie informuje, że dzieło będzie gotowe zapewne za rok i że ukaze się w jednym tomie, najprawdopodobniej nakładem Wydawnictwa Lubelskiego.

Małeńka uwaga co do tytułowego *gdy*. Ani w gwarze studenckiej, ani w ogóle w potocznej polszczyźnie *gdy* w funkcji spójnika czasowego nigdy nie występuje, używamy tu słów *kiedy* lub *jak*. Ale właśnie odróżnianie potocznej i książkowej odmiany języka — to dziś pięta Achillesowa nawet niektórych polonistów...

A. S.

**Errata:** w numerze 1/1968 na str. 48 w artykule „Co piszą o języku?” po wierszu 8 od dołu: polsku (nr 59 „Chł. Drogi”). Autorka twierdzi, że *eskalacja* oznacza stopniowe roz-

**O p u s z c z o n o** wiersz: szerzenie wojny na coraz dalsze terytoria”, co oczywiście jest tylko częściowo słusz-

## OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW

### Nastolatki — jeszcze raz

Korespondentowi, którego podpis jest wystylizowanym, ale nieczytelnym ornamentem tekstu, dziękuję za dodatkową informację dotyczącą historii wyrazu *nastolatki*. Wyraz ten powstał u nas jako przekład formy angielskiej *teen-ager*, o czym już mówiłem i co zostało dokumentacyjnie potwierdzone we fragmentach artykułów red. Kopalińskiego i red. Jaszkańskiego. Korespondent, któremu w tej chwili odpowiadam, podaje do wiadomości powołując się na słownik wiechu angielskiego Partridge'a (*A Dictionary of Slang and Unconventional English*), że wyraz *teen-ager* dostał się do języka angielskiego ze Stanów Zjednoczonych w 1945 r., upowszechnił się zaś w drugiej połowie 1947 r. Ta informacja zawarta jest w suplemencie do wymienionego słownika wydany w 1963 r. Ja mam ten słownik w wydaniu z 1953 r.: wyrazu *teen-ager* jeszcze w nim nie ma. Jest on natomiast w wydany przez Fundację Kościuszkowską w 1959 r. słowniku angielsko-polskim opracowanym przez Kazimierza Bulasa i F. Whitfielda. Forma *teen-age* przetłumaczona jest za pomocą przymiotnika «małoletni», *teen-ager* — jako «osoba małoletnia». W obu wypadkach dodana jest uwaga, że są to formy amerykańskie. Autorzy słownika nie spotkali wówczas w tekstach polskich wyrazu *nastolatki*, który właśnie w 1959 r. został użyty w druku przez red. Kopalińskiego jako przekład wyrazu angielskiego *teen-ager*. Wydaje się więc bardzo prawdopodobne, że autorem *nastolatków* w języku polskim jest red. Kopaliński. Słownik Partridge'a nazwałem przed chwilą słownikiem wiechu angielskiego: wyrazu *wiech* w charakterze rzeczownika pospolitego używam jako odpowiednika angielskiego terminu *slang*, francuskiego *argot*. Wyraz *wiech*, krótki, w pewnym stopniu sam przez się wyrazisty, dobrze się nadaje jako taki odpowiednik w zastosowaniu nie tylko do gwary warszawskiej, ale do wszelkiego „slangu” (red. Karolina Beylin, pisała kiedyś w jednym ze swych felietonów o pewnej sztuce teatralnej włoskiej pisanej „wiechem neapolitańskim” — czytelnik bez żadnej wątpliwości rozumie, o co chodzi).

### Metalogeneza — metalogenia

Mgr Maria Lidner i mgr Jerzy Fedak, pracownicy Instytutu Geologicznego w Warszawie, proszą o rozstrzygnięcie sporu na temat terminów



*metalogeneza* — *metalogenia*, *metalogeniczny* — *metalogenetyczny*. Korepondenci, którzy są autorami prac zatytułowanych „Metalogeneza Sudetów” i „Mapa metalogeniczna Sudetów”, są zwolennikami użytych w tych tytułach form: rzeczownikowej *metalogeneza* i przymiotnikowej *metalogeniczny*. Swoje przeświadczenie opierają na analogii do terminów od dawna w geologii przyjętych: *orogeneza* (powstawanie gór, górotwórczość) — *orogeniczny*, *petrogeneza* (powstawanie skał) — *petrogeniczny*, *palingeneza*, *tektogeneza*. O terminie *metalogeneza* piszą, że jest to stosunkowo młoda dziedzina badań geologicznych zajmująca się warunkami powstawania (genezy) i występowania rud metali w skorupie ziemskiej. W badaniach tych używa się też określeń: *mapa metalogeniczna*, *epoka metalogeniczna*, *provincia metalogeniczna*.

Autorzy listu nie poruszają dość ważnej kwestii, a mianowicie kwestii tego, czy terminy, o które toczy się spór: *metalogeneza* i *metalogenia*, znaczą to samo czy też mają znaczenia różne. Terminy *orogeneza*, *petrogeneza*, do których można dodać od niedawna u nas przyjętą *etnogenezę* (*etnogeneza Słowian*), oznaczają obiektywne procesy powstawania gór, skał, tworzenia się ludów słowiańskich. Jest wyraźna różnica między na przykład *petrogenezą* — powstawaniem skał a *petrografią* — nauką o skałach, ich powstawaniu i przeobrażaniu się. Otóż czy miałyby istnieć analogiczna różnica między *metalogenezą* — powstawaniem, tworzeniem się metali a *metalogenią* — nauką badającą te procesy? Odróżnianie obiektywnych procesów od pracy nad poznawaniem tych procesów jest w ogóle rzeczą ważną, ale treść niektórych terminów naukowych jest pod tym względem płynna: *psychologia* to przede wszystkim nauka o zjawiskach i procesach psychicznych, mówi się jednak potocznie o *czyjejs psychologii* mając na myśli nie naukę, ale cechy czyjegoś charakteru, czyjaś psychikę. Z tego, co piszą korespondenci, wynika jak gdyby, że między *metalogenezą* a *metalogenią* zasadniczej różnicy nie ma, bo pierwszą z tych form określają oni w swym liście jako dziedzinę badań geologicznych, a nie sam przedmiot tych badań. W takim razie powstają kolejne alternatywy, czyli sytuacje wymagające dokonania wyboru: alternatywa pierwsza, czy dwu terminom *metalogeneza* i *metalogenia* przyporządkować różne znaczenia i potem tych różnic terminologicznych przestrzegać w pracach naukowych (analogicznie do pary wyrazowej: *petrogeneza*, *petrografia*), czy też używać tylko jednego terminu w różnych znaczeniach. Alternatywa druga: jeżeli się zdecyduje, że wystarczy tylko jeden termin, to który termin wybrać: *metalogenezę* czy *metalogenię*? Trudno mi jako niespecjaliście rzecz rozstrzygnąć, bo rozstrzygać powinny względy na potrzeby tych nauk, których terminy dotyczą, ja zaś tych nauk i tych potrzeb nie znam. Termin francuski *métallogénie* — punkt wyjścia rosyjskiej *mietallogienii* — objaśniony jest w słowniku Larousse'a (w wydaniu większym) jako znaczący „naukę o pokładach minerałów i rud metalowych”. Jest w tym słowniku również hasło *métallographie* określone

jako pewna metoda badania metali. Formę *metalogeneza* rozumiemy przede wszystkim w znaczeniu obiektywnym, jako odnoszącą się do procesów tworzenia się metali, dlatego też nie wiem, czy dobrze się ona nadaje jako określenie nauki badającej te procesy. Tej niedogodności *metalogenia* nie ma. Formą przymiotnikową odpowiadającą rzeczownikowi *metalogenia* jest raczej forma *metalogeniczny* niż *metalogenetyczny*, kojarząca się bezpośrednio z *metalogenezą*. Ze stanowiska językoznawczego pozwoliłbym sobie na końcu na jedną uwagę ogólną. Może nas interesować pochodzenie konia, pochodzenie psa, pochodzenie ryb, ale czy z tego powodu musimy tworzyć jednowyrazowe określenia tych pojęć i oglądać się za terminami sztucznymi, jak na przykład *hipogeneza* — to by było pochodzenie konia, *kynogeneza* — to by było pochodzenie psa, *ichtiogeneza* — pochodzenie ryb? Podobnie, jeżeli nas interesuje geneza metali w przyrodzie, to czy musimy łączyć te dwa wyrazy i mówić zamiast geneza metali — *metalogeneza*? Tytuł „Metalogeneza Sudetów” wydaje mi się pod względem językowym trochę dziwny, tak samo dziwna jest i *metalogenia* Sudetów. Trudno określić, jakiego rodzaju dopełniaczem jest forma „Sudetów”. Czy ma tu chodzić o to, że całe Sudety powstały ze złóż metalowych, że geneza tych gór jest w ogóle metalowa? W takim razie tytuł mógłby się jeszcze tłumaczyć. Znaczyłby on: *metalowa geneza* Sudetów. Ale czy rzeczywiście o to chodzi? Nie wdawałbym się w te rozważania, gdyby nie to, że zawodowy obowiązek językoznawcy polega w pewnym zakresie na współpracy z przedstawicielami innych nauk w definiowaniu terminów naukowych. Skierowano do mnie pytanie, więc usiłuję odpowiedzieć. Zakończyłbym nie tyle wnioskiem, ile refleksją. Konieczność terminu *metalogeneza* nie wydaje mi się oczywista. Od *metalogenezy* i *metalogenii* lepszy by się wydawał termin *metalografia* dotyczący wprawdzie bezpośrednio nauki, ale dający się łatwo stosować i do obiektywnych procesów. Jeżeli mówimy: *geografia Polski*, mając na wyśli krajobraz geograficzny Polski, to możemy powiedzieć i *metalografia Sudetów*, mając na myśli i opis złóż metalowych, i same te złoża. Ale *metalografia* jest terminem już „zajętym” odnoszącym się do metaloznawstwa. Autorzy listu załączyli do niego notatkę prasową, w której jest mowa o „genezie powstania Szkoły Rycerskiej”. Jeden z dwóch pierwszych wyrazów jest zbyteczny. *Geneza* została użyta prawdopodobnie ze względu na urok obecnego brzmienia, ale od brzmienia wyrazu zawsze jest ważniejsza jego funkcja.

### Gumna — Gumien

Stały słuchacz z Wołoszyna, który pisze o sobie, że jest synem wioski *Gumna* koło Cieszyna, i zawsze rozumiał tę nazwę jako mianownik liczby mnogiej, nadesłał wycinek z pisma codziennego z notatką zatytułowaną „Wstyd dla Gumnej”.

Notatka ta dotknęła korespondenta nie tyle ze względu na treść tytułu, ile ze względu na niewłaściwą formę dopełniacza, bo dopełniacz odpowiadający mianownikowi liczby mnogiej *Gumna* powinien brzmieć *Gumien*, a w żaden sposób nie *Gumnej*. Słuszna jest również uwaga korespondenta, że mieszkańców *Gumien* powinno się nazywać *Gumnianie*, nie *Gumianie*; ta forma byłaby stosowna, gdyby nazwa wsi brzmiała nie (te) *Gumna*, ale (ta) *Guma*. Że odmiana *Gumna-Gumnej* jest tylko wynikiem niedbalstwa autora notatki dziennikarskiej, to widać nawet z tekstu tej notatki, w którym jest mowa o przystanku autobusowym przy drodze w *Gumnach*. Gdyby w mowie ludności miejscowej nazwa *Gumna* była tradycyjnie uważana za rodzaj żeński przymiotnika, wówczas można by było zastanawiać się nad tym, jak taką formę interpretować, ale reprezentantem miejscowej tradycji językowej jest sam korespondent, sprawa wygląda więc na zupełnie jasną.

### Millennium — milenium — tysiąclecie

Ob. R. P. z Zabrzeza powraca do kwestii pisowni wyrazu *millennium*, o którym mówiłem, że w postaci łacińskiej pisze się przez dwa *l* i dwa *n*. W którejś audycji zatytułowanej „Gawęda wieczorna” korespondent pisał, że wyraz *millennium* jest już tak spolonizowany, że należy go pisać przez jedno *l* i jedno *n*, i wobec tego pyta, którą pisownię należy uważać za poprawną.

Omawiając w swoim czasie ten wyraz powiedziałem, że jeżeli w jakimś tekście pisze się „*millennium Poloniae*”, to z formy *Poloniae* widać, że to ma być łacina, a jeżeli to ma być łacina, to należy stosować zasady pisowni łacińskiej wymagające pisania *millennium* przez dwa *l* i dwa *n*. Polonizując termin lepiej to zrobić konsekwentnie zastępując w obu wypadkach podwójne litery pojedynczymi, niż usuwać jedno z dwóch *n*, ale zostawiać dwa *l*. Uniknęłoby się kłopotów używając zamiast obcego *millennium* polskiego wyrazu *tysiąclecie*.

### Miedzna — Miedzny

Ks. Franciszek Chwedoruk z Siedlec pyta, jak należy odmieniać nazwę znajdującą się w powiecie węgrowskim miejscowości *Miedzna* — czy według odmiany rzeczownikowej, a więc *do Miedzny*, *w Miedznie*, czy też tak, jak się odmienia przymiotniki, a więc *do Miedznej*, *w Miedznej*? Korespondent dodaje, że w dokumentach archiwalnych dawniejszych pochodzących z pierwszej połowy XVIII w. występują formy przymiotnikowe, w dokumentach późniejszych, w XX w. obok tych form ukazują się formy odmiany rzeczownikowej w *Miedznie*.

Ta informacja mogłaby stać się podstawą rozstrzygnięcia kwestii. Z pochodzenia swego forma *Miedzna* jest niewątpliwie formą przymiot-

nikową. Linde cytuje ze Słownika Knapiusza wydanego w 1621 r. przykład: „miedzne drzewo, na miedzy stojące drzewo, *terminalis*”. W naszym nowym Słowniku Języka Polskiego nie umieściliśmy formy *miedzny*, bośmy jej w tekstach z drugiej połowy XVIII w. i późniejszych nie spotkali, zarejestrowaliśmy natomiast formę *miedzowy* (kamień, kopiec miedzowy), której nie znał Linde, bo jest to jedna z tych licznych form przymiotnikowych na *-owy*, które w ciągu XIX w. wypierały dawne formy na *-ny* (dzisiejsze *ogniowy*, *metalowy* dawne *ogienny*, *metalny*). Gdy przymiotnik *miedzny* wyszedł z użycia, nazwę miejscowości *Miedzna* zaczęto odczuwać jako rzeczownik. Ze Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i Litwy (wydawanego w XIX w.) dowiadujemy się, że wieś nosząca tę nazwę została założona w roku 1531, nie wiadomo jednak, jak autorzy Słownika tę formę odmieniali, bo w tekście umieszczonym po hasle używali skrótowo tylko pierwszej litery M. Ten sposób cytowania wyrazów hasłowych, stosowany w niektórych słownikach, jest niewygodny. Niezależnie od względów historycznojęzykowych Komisja Ustalania Nazw Miejscowości opowiedziała się za rzeczownikową odmianą nazwy *Miedzna*, dopełniacz *Miedzny*, celownik, miejscownik *Miedznie*. Jest to usankcjonowaniem zmiany, która zaszła w sposobie odczuwania przez mówiących wartości gramatycznej tej formy.

### Narzeczona

Ob. S. z Radomia pyta, czy wyraz *narzeczona* należy uważać za rzeczownik czy za przymiotnik.

Pytanie jest o tyle zrozumiałe, że forma odmiany wyrazów *narzeczona* są przymiotnikowe: mówimy *tej narzeczonej*, *te narzeczone*, *tych narzeczonych* — inaczej niż *tej żony*, *te żony*, *tych żon*, na jakiej więc podstawie miałyby się określać wyraz *narzeczona* jako rzeczownik? O przynależności wyrazu do jednej z klas części mowy rozstrzygają nie tylko jego formy odmiany. Podstawowa różnica między rzeczownikiem a przymiotnikiem ma charakter — nie tylko w języku polskim — syntaktyczny, czyli składniowy. Rzeczownik jest zasadniczo wyrazem określającym, przymiotnik — wyrazem określającym. Wypadki, w których rzeczownik pełni funkcję określenia, zdarzają się, ale nie są regułą. W wyrażeniu *wagon-cysterna* wyraz *cysterna* jest określeniem *wagonu*, w wyrażeniu *turkuć-podjadek* — *podjadek* jest określeniem *turkucia*. Ale tymi wyrazami, których funkcją podstawową jest funkcja określania, są przymiotniki. Fakt, że przymiotnik stał się rzeczownikiem, poznajemy po tym, że zaczyna on być w zdaniach wyrazem określającym: jeżeli mówię *mój dobry znajomy*, to za pomocą wyrazów *mój dobry* określam *znajomego*, i to jest świadectwem rzeczownikowego charakteru wyrazu *znajomy*. Przymiotnika *dobry* nie mogę określić za pomocą żadnego innego przymiotnika, nie mogę powiedzieć *mój nowy dobry*, mogę tylko do określenia *dobry* dodać jakieś in-

ne określenie, które wespół z przymiotnikiem *dobry* będzie się odnosić do jakiegoś rzeczownika, na przykład w wyrażeniu *mój dawny, dobry znajomy*. Wyraz *myśliwy* ma wszystkie formy odmiany przymiotnikowe, jest jednak rzeczownikiem, bo mogą się z nim łączyć przymiotniki w charakterze określeń: *dobry myśliwy, zapalony, niefortunny myśliwy*. To samo jest z wyrazem *narzeczona*, który ma odmianę przymiotnikową, ale jest rzeczownikiem, bo może być w zdaniu samodzielny podmiotem („przyjechała do niego narzeczona”) i może być określanym za pomocą przymiotników (*wierna narzeczona*). Omawiane kwestie nie są w zasadzie zawiłe, ale w nauczaniu gramatyki często bywają niedostatecznie wyjaśniane. Wątpliwość co do tego, do jakiej części mowy należy wyraz *narzeczona*, ogarnęła korespondenta gdy przeczytał w gazecie w związku ze Świętem Kobiet, że życzenia składają — czy też ofiarowują upominki — *mężowie żonom, narzeczeni narzeczoną*. Korespondentowi przyszło do głowy, że gdyby wyraz *narzeczona* był rzeczownikiem, to powinien byłby mieć w celowniku liczby mnogiej, jak wszystkie rzeczowniki, końcówkę *-om*, to znaczy, że należałoby napisać w zacytowanym zdaniu nie tylko *żonom*, ale i *narzeczoną*. Bardzo niespodziewany skrupuł gramatyczny. Nie wiadomo czasem co gorsze: nieznamość gramatyki czy przesadne skrupuły gramatyczne. Gdyby od kogoś, normalnie władającego językiem polskim i mówiącego: *żonom* i *narzeczoną* ktoś w myśl swojej gramatycznej interpretacji wyrazu *narzeczona* jako rzeczownika wymagał ujednostajnienia obu form i mówienia *żonom* i *narzeczoną*, to adresat pouczenia powinien byłby wzruszyć ramionami. Rzecz jest zbyt oczywista, żeby się nad nią rozwodzić.

### Przesyłać — przysyłać

Ob. B. Robak z Pionek pyta, czy pozdrowienia w listach *przesyła* się czy też *przysyła* i jakie względy przymawiają za jedną formą lub drugą.

Czasowniki *przesyłać* — *przysyłać* należą do wyrazów bliskoznacznych, to znaczy do takich, których w pewnych sytuacjach można używać zamiennie, w innych natomiast — nie. Granice między tymi dwoma typami sytuacji są często płynne. Można *przysłać* do kogoś człowieka w jakiejś sprawie, na przykład montera do naprawy telefonu: nie powiemy *prześleć* ci montera. W powieści Anny Kowalskiej „Na rogatce” (wydanej w 1953 r.) czytamy następujące zdanie: „Ojcu rozjaśniała się twarz, gdy przychodziłam nie *przysyłana* przez matkę, ale z własnej woli”. Matka mogła córkę *przysłać* do ojca, *przesłać* mogłaby tylko paczkę. Podobnie w „Potopie” Sienkiewicza w zdaniu „Widzę, że pan Czarniecki nie tylko najlepsze szable, ale i najlepszą gębę w poselstwie *przysłał*”, ponieważ szable i gęba oznaczają ludzi, użyta jest forma *przysłał*, nie *przesłał*. Inne charakterystyczne przykłady niewymiennych użyć formy *przysłać*: „Przyjdę kiedy indziej, a jeżeli będzie co potrzeba, niech pan po mnie *przyśle*” — Juno-

sza „Pod wodzą” (autor zmarł w 1898 r.). Przyjeżdżam natychmiast i proszę, by przysłać po mnie konie na stację”. Jan Lam. „Rozmaitości i powiastki” (przykłady biorę z nowego Słownika Języka Polskiego pod moją redakcją). Paczki, wiadomości, noty dyplomatyczne i pozdrowienia, o które chodzi korespondentowi, raczej się *przesyła* niż *przysyła*. W tym zakresie możliwa jest wprawdzie pewna wymiennność, związek jednak *przesyłać* pozdrowienia jest dość mocno utrwalony. Wahania w użyciu przedrostków *prze-* i *przy-* zdarzały się w historii języka polskiego dość często: staropolskiej *przełbicy* odpowiada dzisiejsza *przyłbica*, dawnej *przegrywce* (na fortepianie) dzisiejsza *przygrywka*, w Warszawie obok *przydziału* (na przykład węgla) słyszy się o jego *przedziale*, u pisarzy XIX w. spotykamy zwrot *przewidywać się*, dziś, gdy widzimy coś, co się okazuje ułudą, mówimy, że się nam coś *przywidziało*, nie *przewidziało*, chociaż o wrażeniach słuchowych użyjemy formy *przesłyszałem się*, z przedrostkiem *prze-* nie *przy-*. Trudno powiedzieć co jest przyczyną tego zamieszania, prawdopodobnie wchodzi tu w grę bliskość fonetyczna obu przedrostków, bo na przykład przedrostki *od-* i *do-* tak się z sobą nie mieszają.

W. D.

## SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO

pod redakcją prof. dra W. Doroszewskiego

Tom I, str. 1206, obejmuje litery A—C,	zł 220,—
Tom II, str. 1394, obejmuje litery D—G,	zł 220,—
Tom III, str. 1391, obejmuje litery H—K,	zł 220,—
Tom IV, str. 1331, obejmuje litery L—N ( <i>do nic</i> )	zł 220,—
Tom V, str. 1265 + nlb, obejmuje lit. Nie—Ó w subskr.	zł 88,—
Tom VI, str. 1477 + 2 nlb, obejmuje lit. P—Prę w subskr.	zł 88,—
Tom VII, str. 1499, obejmuje lit. Pri—R w subskr.	zł 88,—
Tom VIII, str. 1370, obejmuje lit. S—Ś w subskr.	zł 88,—
Tom IX, str. 1484, obejmuje lit. T—Wyf. w subskr.	zł 88,—

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

**WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA PT.  
„PORADNIK JĘZYKOWY”**

---

Cena prenumeraty rocznej zł 60,—  
półrocznej zł 30,—

Zamówienia i wpłaty przyjmują:

1. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 32, konto PKO nr 1-6-100.020.
2. Oddziały i Delegatury „Ruchu”.
3. Urzędy pocztowe i listonosze.
4. Księgarnie „Domu Książki”.

Zamówienia przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zamówienia dla zagranicy przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, Wronia 23 (tel. 20-46-88) konto PKO nr 1-6-100.024. Koszt prenumeraty ze zleceniem wysyłki za granicę jest o 40% wyższy.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne zamawiają wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „Ruch”.

Czasopismo Poradnik Językowy można nabywać we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych PAN — Ossolineum — PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki (wysoki parter) oraz w następujących księgarniach naukowych PP Domu Książki:

Białystok, ul. Lipowa 43  
Gdańsk-Wrzeszcz, ul. Grunwaldzka  
111/113  
Katowice, ul. Warszawska 11  
Kraków, ul. Podwale 6  
Koszalin, ul. Zwycięstwa 20  
Lublin, ul. Krakowskie Przed-  
mieście 68  
Łódź, ul. Piotrkowska 102a

Olsztyn, Plac Wolności 2/3  
Opole, Rynek 19/20  
Poznań, ul. Armii Czerwonej 69  
Szczecin, ul. Jedności Narodowej 5  
Toruń, Rynek Staromiejski 30  
Wrocław, ul. Kuźnicza 42  
Warszawa, ul. Krakowskie Przed-  
mieście 7

Archiwalne egzemplarze można nabywać także w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomiejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII OM.

**TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ REGULARNE OTRZYMYWANIE  
CZASOPISMA**